NR 48 (1869) 26 LISTOPADA 2024

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Proj. A. Ch.

TYSOL.PL

ISSN 0208-8045
INDEKS 379433
CENA 8,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Jak władza grzebie POLSKIE CARGO

- KARIERY NA FALSACH
- FUNDACJA OCALENIE? CZY FUNDACJA ZAROBEK?

REPUBLIKA

Jesienne hity
w sklepie Republiki!

Otworz i zamknij parasol jednym kliknięciem!

PARASOL AUTOMATYCZNY Z LOGIEM REPUBLIKI

KSIĄŻKA Z AUTOGRAFEM
RAFAŁ ZIEMKIEWICZ „CZAS BEZPRAWIA"

Od S do 3XL

KOSZULKA POLO REPUBLIKA - BIAŁA

KUBEK BIAŁY MAT 380ML Z NAPISEM REPUBLIKA

Od S do 3XL

KOSZULKA POLO REPUBLIKA - GRANATOWA

KUBEK REPUBLIKA RETRO - 280 ML

ZAMÓW NA:
sklep.tvrepublika.pl

lub telefonicznie
22 280 99 39 wew. 4

RepublikaTV | @RepublikaTV | Telewizja Republika | @RepublikaTV

W lipcu REPUBLIKA rozpoczęła nadawanie na ósmym multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej MUX-8 na kanale 51, dzięki czemu dociera już do 80% Polaków. Nadal można nas oglądać przez satelitę, w sieciach kablowych oraz w lokalnych multipleksach w Katowicach, Warszawie, Trójmieście, Wrocławiu, Częstochowie, Tomaszowie Mazowieckim, Jeleniej Górze, Legnicy, Głogowie, na Śląsku oraz w części woj. opolskiego i małopolskiego. REPUBLIKĘ obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika

SKANUJ KOD QR
WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 89271c7d1f

Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Stabilność, jaką polski rynek pracy cieszył się przez ostatnie lata, legła w gruzach w ciągu zaledwie kilku miesięcy. Przeprowadzana przez obecny zarząd PKP Cargo dzika restrukturyzacja przypomina, że nic nie jest dane raz na zawsze i przywodzi na myśl najgorsze praktyki patopracodawców. Co więcej, obiektem obrzydliwego ataku stała się Solidarność, która nie tylko wywalczyła Polsce wolność, ale konsekwentnie przyczynia się do poprawy warunków pracy.

Tymczasem w PKP Cargo, jak ujął to w ubiegłym tygodniu w Sejmie poseł Dariusz Matecki, odbywa się rzeź Związku, a z pracy zwolniono niemal wszystkich działaczy Solidarności. P.o. prezes Marcin Wojewódka zresztą wcale nie ukrywa tego, że celowo pozbywa się związkowców zwolnionych ze świadczenia pracy, czyli oddelegowanych do działalności związkowej, którą prowadzili w ostatnich latach, m.in. wielokrotnie apelując do zarządów PKP Cargo, ale również do przedstawicieli rządu o wdrożenie działań naprawczych w spółce.

Prezesi się zmieniają, ale Solidarność trwa niezmiennie od 45 lat i niezmiennie stoi na straży praw członków NSZZ „Solidarność" i każdego pracownika w Polsce.

Teraz sami stali się nie tylko ofiarami pseudorestrukturyzacji, polegającej na razie przede wszystkim na zwolnieniach, przeprowadzanej bez rzetelnej konsultacji ze związkami i bez planu naprawczego, ale także celem – obwinia się ich bowiem, że do obecnej sytuacji się przyczynili.

Te kuriozalne zarzuty p.o. prezes Wojewódka formułuje, używając przy tym skomplikowanych terminów prawnych, odwołując się do stereotypów, robiąc w mediach zatroskaną minę i deklarując, że motywem jego działań jest dbałość o firmę. Do tego, co jest już absolutnym skandalem, ma przyzwolenie obecnego rządu, który na temat jednej ze strategicznych polskich spółek, która przechodzi tak głębokie zmiany, nabrał wody w usta.

Gdy jego przedstawiciele są pytani przez posłów opozycji o plany naprawcze czy podstawy, na których przeprowadzane są zmiany, o to, dlaczego ludziom nie są wypłacane odprawy, przyznają, że planu naprawczego ani innych dokumentów, które uzasadniałyby takie działania, po prostu nie ma.

To jednak nie przeszkadza w zwolnieniu niemal 4 tys. osób, w tym nie tylko działaczy związkowych, ale również ludzi w wieku przedemerytalnym, kobiety na urlopie macierzyńskim (kobiecie w ciąży także wręczono wypowiedzenie, cofnięto je dopiero po interwencji Solidarności), a także ludzi samotnie wychowujących dzieci, małżeństwa czy powodzian.

To niebywałe, że takie rzeczy dzieją się w naszym kraju zupełnie oficjalnie, a decydenci na to nie reagują.

A może jednak swego rodzaju „plan naprawczy" powstał już dawno temu i p.o., a niebawem być może prezes PKP Cargo, od pół roku konsekwentnie go realizuje? Coraz głośniej mówi się o tym, że być może jesteśmy świadkami bezprecedensowgo rozkładu strategicznej polskiej spółki kolejowej i przygotowania jej do przejęcia przez prywatne podmioty, być może z obcym kapitałem.

A wtedy ośmieszanie i eliminowanie tych, którzy mogliby głośno przeciw tym działaniom wystąpić, to jeden ze środków do osiągnięcia założonego celu.

Bo, proszę Państwa, w tej dramatycznej dla pracowników i obrzydliwej sytuacji chodzi głównie o to, że Solidarność przeszkadza. Jest niewygodna. Bo nie boi się mówić prawdy i wśród steku oskarżeń, m.in. pod swoim adresem, szuka prawdziwych motywów działań obecnego zarządu oraz punktuje niesprawiedliwość i działania na granicy prawa.

Panie p.o. prezesie Wojewódko, mam dla Pana złą wiadomość. Nie przestaniemy. Będziemy nadal głośno protestować przeciwko barbarzyńskim działaniom i w obronie każdego pracownika tej spółki. Będziemy protestować, gdy podobny los spotka zatrudnionych w innych firmach. Prezesi się zmieniają, ale Solidarność trwa niezmiennie od 45 lat i niezmiennie stoi na straży praw członków NSZZ „Solidarność" i każdego pracownika w Polsce.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ **WASIUKIEWICZ**

eprasa.pl 89271c7d1f

26.11.2024
WYDANIE Nr
48

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Jak rząd grzebie PKP Cargo

8	Grabarze polskiego Cargo
12	Na zimno, z buta i w białych rękawiczkach
16	To jest harakiri. Rozmowa z K. Trammerem
20	Polska na wyprzedaży
24	#MakeCargoGreatAgain. Szkoda, że nie u nas

KRAJ

Trzech libków w łódce (nie licząc Donka) 26
Zbrodnia bez kary 30
Inna polityka nie jest możliwa. Krótki kurs historii Razem 34
Fundacja Ocalenie? Czy Fundacja Zarobek? 38
Kariery na falsach 42

ZAGRANICA

Jak uciszyć 11 milionów ludzi? 50
Odrzucenie polityki moralnego szantażu 54

ŚWIAT WEDŁUG CHODAKIEWICZA 58

KULTURA

Ważne jest to, żeby żyć. Rozmowa z E. Ekwą 60
Śmierci i filmy Meriana Coopera 64

ZWIĄZEK

Co w związku 66
„Fachowiec potrzebny od zaraz”. Konferencja NSZZ „S” i CPS „Dialog” 68

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa

E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com

Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz:
Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy:
Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Aleksandra Fedorska, Paweł Gabryś-Kurowski, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Krzysztof Karnkowski, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie:
Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika:
Barbara Sadowska, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl:
Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Monika Rutke, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki
tel. 510 075 689, e-mail:
k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: TYSOL Sp. z o.o.
ul. Wały Piastowskie 24, 80-855 Gdańsk
nr konta: Mbank
58 1140 1065 0000 2038 9400 1001

Księgowość: tel. 58 308 42 69

FELIETONY:

WOŚ 7
OKRASKA 23
GAC 37
PŁUŻAŃSKI 53
KRYSZTOPA 57

POLECAMY:

KARUZELA Z BLOGERAMI 33
ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 41
ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 46
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 71
PRAWO 72

eprasa.pl 89271c7d1f

Udzielam poparcia wnioskowi o poddanie pod referendum ogólnokrajowe sprawy o szczególnym znaczeniu dla państwa i obywateli dotyczącej ograniczenia przez Polskę obecnych przepisów strategii „Zielonego Ładu" i bieżącej polityki klimatycznej UE

zawierającemu następującą propozycję pytania w przedmiotowej sprawie:

Czy jest Pani/Pan

za zobowiązaniem Prezydenta RP, Parlamentu RP, Rządu RP do odrzucenia przez Polskę polityki klimatycznej UE w obecnym kształcie, zawartej w europejskim „Zielonym Ładzie"

Odpowiedzi "Tak" lub "Nie".

Lp.	Imię (imiona) i nazwisko	Adres zamieszkania (miejscowość, ulica, nr domu, nr lokalu)	Nr ewidencyjny PESEL	Podpis
1	2	3	4	5

Wypełnioną kartę można wysłać na adres redakcji „Tygodnika Solidarność": ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa.

eprasa.pl 89271c7d1f

PODPISZ WNIOSEK

O REFERENDUM OGÓLNOKRAJOWE W SPRAWIE ZIELONEGO ŁADU

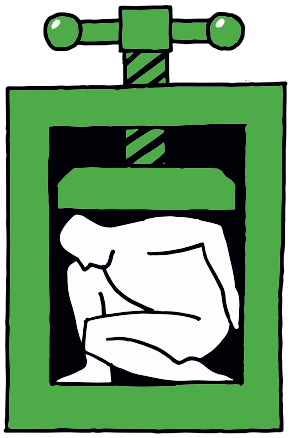

ZATRZYMAJ
ZIELONY ŁAD
PODPISZ, ZANIM ZRUJNUJĄ CI ŻYCIE

www.preczzzielonymladem.pl

NSZZ Solidarność

NSZZ RI Solidarność

eprasa.pl 89271c7d1f

Rafał Woś

Czas fajtłapów

Pewnie zdarzyło się Wam spotkać w życiu kiepskiego hydraulika. Znacie ten typ „fachowca”? Wzywacie go do jakiejś drobnej usterki i chcecie, żeby szybko ją usunął, wziął zapłatę i sobie poszedł. Ale nic z tego. Przychodzi, wyjmuje narzędzia i macie najpierw godzinę sapania oraz miotania przekleństw. A kiedy myślicie, że będzie już z górki, nagle… strzela kolanko. I po całej kuchni leje się woda. Strumień zrzuca z półek talerze, a nasz „fachura” w panice chwyta się firanki, ściągając sobie na łeb zerwany karnisz. Totalna rozwałka. Wpadacie przerażeni sprawdzić, czy to już trzecia wojna, a on z miną Smerfa Ważniaka oświadcza wam, że to w sumie… wasza wina. Wasza i rzecz jasna tych „debili”, co to wszystko montowali przed nim. I wychodzi obrażony, zostawiając was z problemem. Dalece poważniejszym niż to, co było, zanim przekroczył wasze progi.

Bardzo podobnie poczyna sobie w gospodarce rząd Donalda Tuska. Zaś losy spółek strategicznych – takich jak choćby PKP Cargo, o której piszemy w tym numerze „TS” – są tego zjawiska znakomitą ilustracją. Cargo to polski gigant przewozów towarowych. Firma z wieloma problemami (ale ich przecież w żadnym wielkim przedsiębiorstwie nie brak). Ale i z niesamowitym potencjałem. Potencjałem, który wiąże się ze strategicznym położeniem Polski. A także z tym, że jeśli Europa chce być naprawdę „eko”, to akurat kolej cargo winna być absolutnym priorytetem rozwojowym każdego rozsądnego rządu.

W takim układzie można by oczekiwać, że spółka PKP Cargo zostanie przez dalekowzroczną władzę dopieszczona, doinwestowana i przygotowana do ekspansji na skalę europejską. No bo skoro polscy transportowcy drogowi mogli podbić unijne rynki, to czemu nie powtórzyć tego na kolei. Niestety. Od roku mamy wokół Cargo coś dokładnie odwrotnego. Nowy rząd do spółki wysłał specjalistę wcale nie od rozwoju. Tylko od… zwolnień. Ów facet (prawnik) Marcin Wojewódka na kolei znał się tak dobrze, jak ja na medytacji transcendentalnej (a ja nie znam się na żadnej medytacji). Zaś zasłużył się uśmiechniętej Polsce ekspertyzą przydatną przy nielegalnym i antypracowniczym przejęciu TVP metodą „na likwidatora”.

Swoje rządy w Cargo Wojewódka zaczął od zniszczenia dialogu społecznego z organizacjami pracowniczymi. Ta pacyfikacja oporu ze strony związków zawodowych oraz przedstawicieli załogi była mu potrzebna, by przygotować grunt pod wielką „restrukturyzację”. A mówiąc bardziej wprost – pod wyrzucenie (Wojewódka mówi o „uwolnieniu na rynek pracy”) prawie 30 proc. załogi. Nad to zarząd przeprowadził ten proces „z buta” i bez większego szacunku dla prawa pracy. Gdyby nie interwencje związków, posłów opozycji oraz medialne burze, cała operacja byłaby jeszcze większą masakrą.

W drugiej fazie – jak mówią insiderzy – nastąpić ma likwidacja taboru, czyli w praktyce dalsze wygaszanie mocy przerobowych zakładu. Potem przyjść mają kolejne „konsolidacje”, czyli zwolnienia i zmniejszanie skali działania. Pewnie będzie tak, że kiedyś Wojewódka (lub jego następcy) pokażą „sukces”. Firma znowu będzie przynosiła zyski. Ale za jaką cenę? I nie chodzi już nawet o koszty ludzkie. Po prostu po takiej „końskiej kuracji” firma PKP Cargo będzie karłem-kastratem. Organizacją kompletnie niezdolną do rywalizacji o rynki i kontrakty. Na pozostawionym przez nią rynku ktoś się pożywi. To pewne. Lwią część tortu wezmą konkurenci z niemieckiej Deutsche Bahn czy spółki-córki Kolei Ukraińskich, która właśnie dostała licencję na aktywność na terenie UE. Polskim drobnym graczom prywatnym przypadną jakieś okruszki.

A Wy, Drodzy Rodacy, będziecie mogli się zastanowić, czy warto było wpuszczać do domu tego hydraulika fajtłapę? Bo ta opowieść o Cargo nie jest – niestety – przypadkiem odosobnionym. Bo takie mamy czasy. Czasy fajtłapów.

eprasa.pl 89271c7d1f

Temat Tygodnia

GRABARZE polskiego cargo

Przeprowadzone w ostatnich miesiącach zwolnienia grupowe w PKP Cargo były nie tylko jednymi z największych w ostatnich latach. Stały się też symbolem **braku poszanowania** dla pracowników i reguł współżycia społecznego.

Barbara Michałowska

eprasa.pl 89271c7d1f

Fot. Jacek Szydłowski / Forum

P.o. prezes PKP Cargo Marcin Wojewódka (po prawej) w towarzystwie posła Romana Giertycha

Ślubuję uroczyście w wykonywaniu zawodu radcy prawnego przyczyniać się do ochrony i umacniania porządku prawnego Rzeczypospolitej Polskiej, obowiązki zawodowe wypełniać sumiennie i zgodnie z przepisami prawa, zachować tajemnicę zawodową, postępować godnie i uczciwie, kierując się zasadami etyki radcy prawnego i sprawiedliwości – to rota radcy prawnego. Składa ją każdy, kto zostaje radcą, na początku swojej drogi zawodowej. Składał ją niegdyś także Marcin Wojewódka, doktor nauk ekonomicznych, specjalista z zakresu prawa pracy i świadczeń pracowniczych z ponad dwudziestopięcioletnim stażem. Doradzał kilkudziesięciu pracodawcom w tym zakresie. Od stycznia tego roku jest także społecznym doradcą ministra Adama Bodnara.

Teraz jego nazwisko jednak bardziej niż z profesjonalizmem kojarzy się z bezdusznym wyrzucaniem ludzi na bruk i działaniami na granicy prawa, a także z wycinaniem z firmy przedstawicieli Solidarności. Jak tego dokonał?

Nie ma pomysłu, jak odzyskać pozycję rynkową

Cofnijmy się do 2020 roku. PKP Cargo ma zupełnie innego prezesa. Jest nim Czesław Warsewicz. Już wówczas sytuacja spółki była zła. „PKP Cargo zaprzestało starań na rzecz odzyskania małych klientów, jednocześnie nie potrafiąc powstrzymać utraty wielkich kontrahentów. Konkurencyjni przewoźnicy zdołali przechwycić kolejne duże zlecenia na transport kontenerów i węgla. Tylko tracąc zlecenia na obsługę elektrowni w Połańcu, spółka PKP Cargo pogorszyła swój wynik przewozowy o 2,2 mln ton” – pisał Karol Trammer w „Z Biegiem Szyn”. To właśnie wtedy na biurko prezesa PKP i przewodniczącego Rady Nadzorczej PKP Cargo Krzysztofa Mamińskiego trafia list napisany przez Jana Majdera, przewodniczącego Solidarności w PKP Cargo. Tego samego, którego nie tak dawno temu Wojewódka nazwał osobą, która przychodzi do pracy, by wypić kawę.

TYLKO TRACĄC ZLECENIA NA OBSŁUGĘ ELEKTROWNI W POŁAŃCU, SPÓŁKA PKP CARGO POGORSZYŁA SWÓJ WYNIK PRZEWOZOWY O 2,2 MLN TON.

W liście przewodniczący pisze o nieudolnym zarządzaniu spółką i braku działań, które powstrzymałyby drastyczny spadek przewozów. Solidarność stała na stanowisku, że poszczególne zakłady powinny mieć większą swobodę w ustalaniu szczegółów kontraktów z klientami. „Brak możliwości samodzielnego decydowania o stawkach przewozowych na poziomie zakładów, długie terminy udzielanych odpowiedzi dla klientów, brak elastyczności cenowej doprowadziły do stałej tendencji spadkowej przewożonych towarów” – pisano w liście.

List najwidoczniej nie odniósł oczekiwanego skutku, ponieważ już

eprasa.pl 89271c7d1f

dziewięć miesięcy później przedstawiciele trzech największych organizacji: Solidarności, Federacji Związków Zawodowych Kolejarzy oraz Związku Zawodowego Maszynistów napisali do Rady Nadzorczej: „Spółka pogrąża się, tracąc pozycję rynkową i zdolności do realizacji przewozów. W ciągu raptem kilku lat z lidera rynku stała się przewoźnikiem ostatniego wyboru dla klientów, obiektem szyderstw i drwin". Związki utworzyły wówczas Międzyzwiązkowy Komitet Protestacyjny PKP Cargo S.A.

18 września 2020 r. związkowcy spotkali się z prezesem Mamińskim. Załagodzono sytuację. Jednak pozycja PKP Cargo wciąż słabła, a związkowcy nie odpuszczali.

„Pozwalamy sobie przypomnieć, że narodowy kolejowy przewoźnik towarowy PKP Cargo – na skutek braku decyzyjności ze strony Ministra Aktywów Państwach był pozbawiony Zarządu przez blisko pół roku, co znalazło swoje odbicie w sytuacji spółki. Zarząd do tej pory nie wypracował strategii naprawczej i wydaje się nie mieć żadnego pomysłu, jak odzyskać pozycję rynkową. Spółka nadal systematycznie traci udziały w rynku. Wzrost przewozów notowany u prywatnych przewoźników, często z kapitałem zagranicznym, jest tego najlepszym przykładem" – to już cytat z listu do premiera, który wystosowali związkowcy pięciu związków zawodowych działających w PKP Cargo w 2022 roku.

„Odnosimy wrażenie, że zarządowi PKP Cargo nie zależy na realizacji zleconego przez Pana Premiera zadania przewozu węgla ani na naprawie i przyszłości Spółki. Dlatego przekazywane informacje o kłopotach co do realizacji procesu przewozowego są zakłamywane" – stwierdzają sygnatariusze listu.

W związku z powyższym zwrócili się do premiera z prośbą o interwencję.

„Związki Zawodowe od 2020 roku wielokrotnie występowały do Ministrów, Rady Nadzorczej i Zarządów o pilne wdrożenie procesów naprawczych w Spółce. Niestety nasze wystąpienia spotkały się z całkowitą biernością, a Spółka dalej pogrążała się w utracie rynku, spadkiem przewozów i niespotykanym w historii Spółki zadłużeniem" – napisali związkowcy z kolei już na początku tego roku.

„W związku z dramatyczną sytuacją Spółki apelujemy do Pana Premiera o zainteresowanie sprawą i podjęcie pilnych działań właścicielskich, które mamy nadzieję uratują Spółkę przed upadłością" – podkreślali związkowcy.

Gdy w kwietniu tego roku p.o. prezesem PKP Cargo został Marcin Wojewódka, dialog – jak oceniają związkowcy – się skończył. „Jestem przekonany, że naprawimy PKP Cargo, ponieważ spółka ma wielki potencjał i możliwości rozwoju. Musimy ją tylko przeorganizować" – mówił wówczas na antenie TVN24 Wojewódka.

Gdzie jest plan?

Reorganizacja (nazywana przez p.o. prezesa restrukturyzacją) ma jednak podstawowy mankament. Nie ma planu. Takiego planu naprawczego związki zawodowe, w tym Solidarność, domagały się od początku działań nowego p.o. prezesa. Nie otrzymały go do dziś. Co więcej, o taki plan pytali przedstawicieli rządu posłowie opozycji. Także bez rezultatu.

„Poseł Płażyński powiedział, że minister infrastruktury Dariusz Klimczak zapewniał, że jest to ważna dla premiera spółka, a jednocześnie w odpowiedzi na interpelacje przedstawicieli PiS przyznał, że nie ma dla niej planu naprawczego. – Czy to jest nadzór nad tym, co dzieje się w jednej z najważniejszych spółek Skarbu Państwa? – pytał" – podawało na początku listopada „DoRzeczy".

Pracownicy – zbędny koszt

Zarząd PKP Cargo uznał, że największym zbędnym kosztem spółki są jej pracownicy. I postanowił wysłać ich najpierw na nieświadczenie pracy, a potem zwolnić niemal 30 proc. załogi. Dlaczego aż tyle? Do dziś pytający nie otrzymali ugruntowanej odpowiednią analizą odpowiedzi. Prezes jednak niejednokrotnie powtarzał, że zwalnia 4 tysiące pracowników, „żeby utrzymać 10 tys. miejsc pracy". To ostre cięcie, nie tylko jeśli chodzi o jego rozmiary, budziło od początku wątpliwości samych pracowników i ich przedstawicieli. Szybko okazało się, że także dobór osób do zwolnienia jest kontrowersyjny. Wypowiedzenia otrzymywali pracownicy chronieni – w wieku przedemerytalnym, kobiety na urlopach macierzyńskich czy słynna kobieta w ciąży, której po interwencji Solidarności wypowiedzenie cofnięto. Zwolnieni zostali także działacze związkowi. W tym zdecydowana większość działaczy NSZZ „Solidarność".

W CIĄGU RAPTEM KILKU LAT PKP CARGO Z LIDERA RYNKU STAŁA SIĘ PRZEWOŹNIKIEM OSTATNIEGO WYBORU DLA KLIENTÓW, OBIEKTEM SZYDERSTW I DRWIN.

eprasa.pl 89271c7d1f

I choć zarząd PKP Cargo przekonywał, że zwolnienia dotykają w podobnym procencie przedstawicieli wszystkich związków zawodowych, eksperci NSZZ „Solidarność" nie mają wątpliwości, że celem jest Solidarność. Sam p.o. prezes zresztą wreszcie przyznał to niedawno w mediach, nazywając działaczy Solidarności oligarchami.

O tym, że zwolnienia mogą być przeprowadzane niezgodnie z prawem, świadczą pierwsze wydane przez sądy zabezpieczenia, które nakazują dalsze zatrudnianie zwolnionych pracowników chronionych z PKP Cargo aż do rozstrzygnięcia sprawy o przywrócenie do pracy. W uzasadnieniu jednego z nich czytamy: „Co do zasady otwarcie postępowania sanacyjnego, tak samo jak ogłoszenie upadłości, wyłącza szczególną ochronę pracowników, jednak wspomniany art. 32 ust. 1 uzz zawiera w tym przedmiocie samodzielną regulację szczególną, a przewidziana tam ochrona jest wyłączona tylko w przypadku upadłości lub likwidacji, a nie postępowania restrukturyzacyjnego. W przeciwnym wypadku powtórzenie w tym przepisie treści art. 411 § 1 k.p. byłoby pozbawione sensu. Przepis art. 300 prawa restrukturyzacyjnego nie jest przepisem odrębnym, który by sam w sobie dopuszczał rozwiązanie umowy z chronionym działaczem związkowym".

To nie jedyne przepisy, których powinno się przestrzegać, przeprowadzając zwolnienia grupowe w spółce będącej w postępowaniu sanacyjnym. Pracownicy chronieni są także konwencjami MOP-u. Art. 1 Konwencji nr 98 Międzynarodowej Organizacji Pracy dotyczącej stosowania zasad prawa organizowania się i rokowań zbiorowych stanowi, iż pracownicy powinni korzystać z należytej ochrony przed wszelkimi aktami dyskryminacji, dążącymi do naruszenia wolności związkowej w dziedzinie pracy. Taka ochrona powinna odnosić się w szczególności do czynów mających na celu: [...] wydalenie pracownika lub skrzywdzenie go we wszelki inny sposób z powodu jego przynależności do związku zawodowego lub udział w działalności związkowej poza godzinami pracy, lub za zgodą pracodawcy. Konwencja MOP nr 98 jest tzw. konwencją fundamentalną i na mocy art. 91 ust. 2 Konstytucji RP ma pierwszeństwo przed ustawą polskiego prawa. Jej przepisy więc obowiązują nawet wówczas, gdy polskie przepisy dotyczące ochrony pracowników (a jak przekonują przedstawiciele PKP Cargo, tak się dzieje, gdy spółka znajduje się w sanacji) nie obowiązują.

Pracowników nie ma, pieniędzy też

– Mamy informacje, że wyłuskiwani byli działacze związkowi i co aktywniejsi członkowie Związku i zwalniani. Działacze i członkowie Solidarności stanowią dużą część zwalnianych i nie jest to przypadek. To zdecydowanie zamach na Związek – mówi Henryk Grymel, przewodniczący Rady Krajowej Sekcji Kolejarzy NSZZ „Solidarność". Sam został zwolniony, choć na początku stycznia osiąga wiek emerytalny. – To celowe działanie mające na celu rozbicie Związku w PKP Cargo – dodaje. Zresztą p.o. prezes przyznał w mediach, że w trakcie zwolnień grupowych celowo rozstaje się z działaczami Związku.

Kilka tygodni temu spółka poinformowała z kolei, że nie ma pieniędzy, by wypłacić zwolnionym odprawy i inne świadczenia. – Nie znam innego przypadku, w którym firma decyduje się na zwolnienia grupowe, nie mając na ten cel zabezpieczonych funduszy – mówi Jan Majder, przewodniczący NSZZ „S" w PKP Cargo.

Po interwencji Solidarności i liście przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „S" Piotra Dudy do głównego inspektora pracy Marcina Staneckiego, PIP rozpoczęła kontrolę procesu zwolnień. „Zakresem kontroli objęto przestrzeganie przez pracodawcę przepisów prawa pracy, w tym szczególnie prawidłowość i terminowość wypłaty wynagrodzenia za pracę oraz innych świadczeń związanych z pracą, jak również przestrzeganie przepisów w zakresie rozwiązywania stosunku pracy z pracownikami Spółek należących do Grupy" – podaje główny inspektor pracy. Nie ma jednak jeszcze wyników kontroli. „Z uwagi na obszerność i złożoność materiału trudno określić termin zakończenia prowadzonych kontroli" – dodaje.

> DZIAŁACZE I CZŁONKOWIE SOLIDARNOŚCI STANOWIĄ DUŻĄ CZĘŚĆ ZWALNIANYCH I NIE JEST TO PRZYPADEK. TO ZDECYDOWANIE ZAMACH NA ZWIĄZEK.

– W czerwcu 2024 r. spółka znajdowała się w tragicznej sytuacji finansowej. Było to kilkaset milionów straty, które zaraportowaliśmy na 30 czerwca, dlatego też musieliśmy pod koniec czerwca złożyć wniosek o sanację, żeby tak naprawdę „uciec spod noża". To się udało, jesteśmy dzisiaj dalej na dnie, ale jak powiedziałem, przestawiliśmy zwrotnicę i teraz spokojnie, odpowiedzialnie, organicznie naprawiamy spółkę w różnych obszarach oraz procesach – mówi p.o. prezes PKP Cargo Marcin Wojewódka, cytowany przez Money.pl.

eprasa.pl 89271c7d1f

Na zimno, z buta i w białych rękawiczkach

Zwolnieni zostali ludzie **po 44 latach pracy** w tej samej firmie, chorzy na raka, przebywający na świadczeniach rehabilitacyjnych z powodów zdrowotnych, powodzianie, matki na urlopach macierzyńskich – czystka w PKP Cargo nie oszczędziła nikogo.

Agnieszka Żurek

Najgorsze było to, że zostaliśmy potraktowani całkowicie bez szacunku, przedmiotowo i bezdusznie – mówią zgodnie byli pracownicy spółki.

Niewygodna Solidarność

– Zostałem zwolniony po 44 latach pracy w tej samej firmie. Pracowała tutaj także moja żona i ona również została zwolniona – mówi w rozmowie ze mną Dariusz Kozik z Oświęcimia, wieloletni członek Solidarności. – Byłem mechanikiem, całe życie uczciwie wykonywałem swoją pracę, nigdy nie otrzymałem żadnej nagany, przeciwnie, byłem chwalony za swoją rzetelność i fachowość. To zresztą nie była dla mnie tylko praca, ale także pasja. Pochodzę z rodziny kolejarskiej, ta tradycja była u nas przekazywana z pokolenia na pokolenie. Tym bardziej jest mi przykro, że zostałem zwolniony tuż przed emeryturą i nie wiadomo właściwie, z jakich powodów – zaznacza kolejarz.

W opinii moich rozmówców zwolnienia zostały przeprowadzone według klucza pozbywania się działaczy i liderów związkowych, ludzi mających autorytet w danym środowisku pracy. – Sądzę, że zostałem zwolniony ze względu na swoją przynależność do NSZZ „Solidarność". Kiedy analizuję, kto został pozbawiony pracy, widzę jasno, że około 75% stanowią związkowcy. Nie wiem, czy chodzi tu o jakieś zaszłości, zatargi prezesa Wojewódki czy o coś innego, ale z jego działań jasno wynika, że walczy on z Solidarnością. Nie tyle generalnie ze związkami zawodowymi, co właśnie z Solidarnością – mówi w rozmowie ze mną Zbigniew, były pracownik PKP Cargo. – Kiedy dostałem wypowiedzenie, byłem przekonany, że to jakaś pomyłka. Pracuję w tej samej firmie blisko 40 lat i sądziłem, że zostanę tutaj już do emerytury. Poszedłem więc do mojego bezpośredniego zwierzchnika i powiedziałem mu, że chyba nastąpił błąd. A on mi na to odpowiedział, że nie, że tak właśnie miało być, ponieważ „generuję koszty". Rozumiem, że jego dziewięciu doradców pracuje charytatywnie? Zwalniani są ludzie, którym niewiele brakuje do emerytury, ponieważ często w przeciwnym razie należałyby się im nagrody jubileuszowe za staż pracy i/lub odprawy – tłumaczy.

Pikieta pracowników PKP Cargo w obronie miejsc pracy przed siedzibą spółki, Warszawa, 19 czerwca br.

Fot. T. Gutry

eprasa.pl 89271c7d1f

„Uzdrawianie” firmy

Zwolnieni pracownicy podkreślają, że dotknęło ich nie tylko samo pozbawienie ich środków do życia, ale także sposób, w jaki odbywały się zwolnienia. – Nie było w tym żadnego szacunku, rozmowy, przedstawienia argumentów – zaznaczają. – Człowiek został z poczuciem ogromnej niesprawiedliwości i bez możliwości usłyszenia, jakie właściwie zarzuty zostały skierowane w jego stronę – dodają. O samym prezesie Marcinie Wojewódce wypowiadają się z dużym niesmakiem. – W moim przekonaniu jest to człowiek nieobliczalny. Bardzo zależy mu także na karierze. Każe się tytułować „panem doktorem”. W swoim gabinecie ma portret poprzedniego prezesa spółki, pana Adama Purwina, który osiągał na tym stanowisku sukcesy i którego Wojewódka nie znosi. Z wiarygodnych źródeł wiem, że w swoim gabinecie w kancelarii prawnej umieścił jego portret, aby rzucać w niego rzutkami. Prezes Wojewódka argumentował konieczność zwalniania pracowników złą kondycją finansową spółki, tymczasem zatrudnił sobie dziewięciu doradców. Dziewięciu! Czym ci ludzie mają się zajmować? Poza doradzaniem, jak „sprzedać” medialnie jego niedające się obronić działania? Wojewódka przyszedł do pracy razem ze swoim kierowcą, którego także uczynił jednym z doradców. Dotychczas w firmie pracowało na etatach trzech kierowców, z których jeden został zwolniony w związku z zatrudnieniem nowego. Zwolnionemu pracownikowi brakowało kilku miesięcy do emerytury. Z kolei ludzie, których chciał zatrudnić prezes, byli przyjmowani do pracy bardzo szybko, z pominięciem dotychczasowych zwyczajowych procedur. Jego ludzie zostali zatrudnieni głównie w zespole ds. restrukturyzacji, który my nazwaliśmy ekipą ds. zwolnień i rozpadu. Ta firma nie przechodzi i nie przejdzie żadnej restrukturyzacji. To jest po prostu zamach na kasę i stanowiska. Jestem pewien, że w przyszłym roku także będą w PKP Cargo zwolnienia. Może nie w takiej skali, jak teraz, ale będą – prognozuje pan Zbigniew. – Zanim jeszcze Ukrainian Railways Cargo Poland, spółka ukraińskich kolei Ukrzaliznycia, uzyskała licencję na przewozy towarowe na terenie Unii Europejskiej, przychodził do nas do PKP Cargo kilka razy

LUDZIE, KTÓRZY OBECNIE ZARZĄDZAJĄ CARGO, CZUJĄ SIĘ BEZKARNI. ROBIĄ Z PRACOWNIKAMI, CO CHCĄ I CO IM PASUJE.

eprasa.pl 89271c7d1f

w tygodniu pan Jakub Karnowski, obecny prezes ukraińskiego Kredobanku – relacjonuje. – Wszystko odbywa się w białych rękawiczkach. Nad wizerunkiem Wojewódki, nad doborem słów, nad jego mimiką, pracuje sztab ludzi. Są to pracownicy zewnętrzni, którzy przed każdym jego wystąpieniem doradzają mu, co mówić, a czego nie, i w jaki sposób gestykulować. Na PR p.o. prezesa są pieniądze. A zwykły pracownik „generuje koszty", zatem trzeba go zwolnić, najlepiej tuż przed emeryturą – puentuje.

– Co sądzę o takich metodach traktowania ludzi? Musiałabym „wypikać" moją odpowiedź. Prezes Wojewódka zachowuje się w sposób całkowicie bezduszny, działa jak automat, nie jak człowiek. Na dodatek opowiada o tym, że „uzdrawia" w ten sposób firmę. Rzeczywiście, czujemy się uzdrowieni. A że prezes Wojewódka będzie miał zdrowie i być może życie tylu ludzi na sumieniu? Żeby się tym przejąć, trzeba by najpierw mieć sumienie – podkreśla w rozmowie ze mną pani Agata z Braniewa. W PKP Cargo pracowała od 2008 roku. Była ajentem zdawczym od początku zatrudnienia, a od 2020 roku organizatorem przewozów, obsługiwała także system celny. – Lubiłam swoją pracę, przynosiła mi dużo satysfakcji. Czułam się także kompetentna w tym, co robiłam, i posiadałam spore doświadczenie w tej branży. Zupełnie nie spodziewałam się zwolnienia, ponieważ do mojej pracy nigdy nie było żadnych zarzutów, przeciwnie, byłam za nią chwalona i nagradzana. Mój przełożony potwierdził zresztą, iż zostałam wytypowana do nieświadczenia pracy nie dlatego, że źle wykonuję swoje zadania, ale dlatego, że takie polecenie przyszło „odgórnie" i on musi kogoś wskazać. Podejrzewałam, że wybrano właśnie mnie z uwagi na fakt, że nie mam dzieci, więc może nie chciano zwalniać matek mających na utrzymaniu dzieci. Jednak dla mnie jest to dyskryminacja. Bo to, czy posiadam dzieci, czy nie, to jest moja prywatna sprawa. Zostałam przywrócona z nieświadczenia pracy po miesięcznej nieobecności, głównie po to, żeby wspomóc koleżankę w pracy w systemie celnym. Podczas planowanego urlopu wypoczynkowego zostało mi wręczone przez listonosza wypowiedzenie z pracy. Co ciekawe, podanym mi powodem zwolnienia była redukcja mojego etatu, tymczasem ja zostałam zwolniona 31 października 2024 r., a 1 listopada tego samego roku rozpoczęto szkolenie innego pracownika, który ma wykonywać dokładnie te same zadania, jakimi wcześniej zajmowałam się ja. Nasuwa się myśl, czy aby na pewno zwolnienie mojej osoby było spowodowane redukcją etatu?

JAKO ZWIĄZKOWIEC, KTÓRY REPREZENTOWAŁ PRACOWNIKÓW WOBEC PRACODAWCY, WEDŁUG OBECNEGO PREZESA NAJWYRAŹNIEJ BYŁEM NIEWYGODNY.

KIEDY DOSTAŁEM WYPOWIEDZENIE, BYŁEM PRZEKONANY, ŻE TO JAKAŚ POMYŁKA. PRACUJĘ W TEJ FIRMIE BLISKO 40 LAT.

Nie człowiek, a numer w ewidencji

– Kiedy jednak rozmawialiśmy ze znajomymi na temat „klucza", według którego odbywały się zwolnienia, zaobserwowaliśmy, że dotykały one najczęściej ludzi zaangażowanych – tak jak ja – w działalność związkową, zwłaszcza członków Solidarności. Najchętniej zwalniano osoby aktywne, tych, którzy otwarcie mówili o tym, co myślą. W dokumentach, które odebrałam z pracy, istnieje zapis, że przysługuje mi odprawa, ale z powodu złej kondycji finansowej spółki nie została ona wypłacona. Ponadto w Urzędzie Pracy posiadamy status osoby bezrobotnej bez prawa do zasiłku przez dwa lub pięć miesięcy – bo taki okres mamy na świadectwach pracy. Nawet jeśli otrzymamy statut osoby z prawem do zasiłku, to po otrzymaniu z PKP Cargo pieniędzy zostaną one zabrane na poczet otrzymanego z urzędu zasiłku. Co za tym idzie – skrócony zostanie nam czas świadczenia. W chwili obecnej pozostaliśmy bez środków do życia. Śmiejemy

eprasa.pl 89271c7d1f

się z kolegami przez łzy, że nawet zwolnić nas z pracy nie potrafili porządnie. Przed nami święta Bożego Narodzenia, czas spędzany w gronie rodzinnym, gdzie wszyscy się radują, ale jak tu się radować, jeśli nie ma się pracy i pieniędzy, bo cały czas się czeka? – pyta pani Agata.

Jak podkreśla, szczególnie jest jej żal ludzi starszych, zwolnionych tuż przed emeryturą. W położonym tuż przy granicy z Rosją Braniewie nie jest łatwo o pracę, zwłaszcza po nałożeniu na Rosję sankcji w związku z agresją tego kraju na Ukrainę. Ludzie, którzy wcześniej trudnili się w rejonach przygranicznych handlem detalicznym, nie mają obecnie na ogół możliwości prowadzenia swojej działalności. – Jestem w dobrej sytuacji, że jako młoda osoba mogę być w miarę mobilna. Po zwolnieniu mnie z firmy znalazłam pracę w innym mieście. Będę wprawdzie wstawać codziennie o 4 rano, żeby tam dojechać, ale przynajmniej mam możliwość zarabiania pieniędzy. A co mają powiedzieć starsi, schorowani ludzie zwolnieni tuż przed emeryturą? – pyta pani Agata. – Z pracy zostali zwolnieni nawet ludzie chorzy na raka, znamy dwa takie przypadki – mówi w rozmowie ze mną pan Dariusz Kozik. – Takie traktowanie ludzi jest nie do pomyślenia, a my jesteśmy wobec niego niestety bezradni, bo za bardzo się podzieliliśmy i rozproszyliśmy, za mało pozostało ludzi ideowych, nieprzekupnych, gotowych do poświęceń na rzecz dobra wspólnego. Pamiętam, jak św. Jan Paweł II mówił do nas: „Kolejarze, nie dajcie się podzielić!”. To były prorocze słowa – dodaje.

– W Cargo pracowałam 14 lat, zaczynając jako ajent zdawczy, poprzez kasjera towarowego, który został zmieniony na operatora handlowego. Na tym stanowisku zostałam zwolniona. Przebywałam wówczas na urlopie macierzyńskim i rodzicielskim, na który zakład wyraził zgodę. Dodatkowo podczas urlopu macierzyńskiego doznałam skomplikowanego złamania ręki, toteż obecnie nie mogę podjąć pracy w związku z trwającą rehabilitacją – mówi mi jedna z byłych pracownic PKP Cargo. – Sytuacja finansowa naszej rodziny drastycznie się pogorszyła. Nie otrzymałam odprawy oraz ekwiwalentu za niewykorzystany urlop – zaznacza. – Tego typu działania są co najmniej bezduszne i wykalkulowane na zimno. W żadnej innej sytuacji, będąc na macierzyńskim, nie zostałabym zwolniona. Kodeks pracy dodatkowo zapewnia mi co najmniej roczne zatrudnienie po powrocie do pracy – przypomina.

– W PKP Cargo pracowałem od 2008 roku, czyli 16 lat. Na początku jako manewrowy, później jako ustawiacz, następnie jako starszy ustawiacz. W czerwcu zostałem wysłany na nieświadczenie pracy. Miałem wybrać, czy na nieświadczenie pójdę ja, czy moja żona – zatrudniona w tej samej spółce. Na nieświadczenie poszło również kilku moich kolegów, ale tylko ja zostałem zwolniony. Wypowiedzenie dostarczono mi pocztą we wrześniu, natomiast rozwiązanie umowy o pracę nastąpiło 31 października. Nikt nie poinformował mnie, dlaczego ochrona związkowa przestała działać. Moim zdaniem jako związkowiec, który reprezentował pracowników wobec pracodawcy, według obecnego prezesa najwyraźniej byłem niewygodny – podkreśla w rozmowie ze mną pan Marek, były pracownik PKP Cargo. – Czuję rozczarowanie i żal, ponieważ myślę, że byłem dobrym pracownikiem. Nigdy nie dostałem nagany, a wręcz przeciwnie – byłem nagradzany przez przełożonych za swoją pracę. Straciliśmy jako rodzina poczucie stabilizacji i bezpieczeństwa, pojawiła się obawa o problemy finansowe i o to, co będzie w przyszłości. Zostaliśmy potraktowani bez szacunku. Ludzie, którzy obecnie zarządzają Cargo, czują się bezkarni. Robią z pracownikami, co chcą i co im pasuje. A my po prostu jesteśmy tylko numerem w ewidencji Cargo, który zawsze można wymazać – konkluduje.

NAJCHĘTNIEJ ZWALNIANO OSOBY AKTYWNE, TYCH, KTÓRZY OTWARCIE MÓWILI O TYM, CO MYŚLĄ.

PAMIĘTAM, JAK ŚW. JAN PAWEŁ II MÓWIŁ DO NAS: „KOLEJARZE, NIE DAJCIE SIĘ PODZIELIĆ!”. TO BYŁY PROROCZE SŁOWA.

Dane niektórych rozmówców zostały zmienione, są znane redakcji.

eprasa.pl 89271c7d1f

To jest harakiri

– Nie widzę w obecnej restrukturyzacji PKP Cargo planu na wyjście z kryzysu. To restrukturyzacja w najgorszym tego słowa znaczeniu – zwolnić pracowników, zmniejszyć zasoby taborowe, zrezygnować z obecności w niektórych lokalizacjach i generalnie zejść na niższy poziom działalności, który w przyszłości nie pozwoli nam się rozwijać – mówi **Karol Trammer**, dziennikarz specjalizujący się w branży kolejowej, w rozmowie z **Marcinem Krzeszowcem**.

Fot. Krzysztof Żuczkowski / Forum

– Kolej jest jednym z najtańszych i najbardziej ekologicznych środków transportu zarówno ludzi, jak i towarów. Czy państwo polskie w należyty sposób inwestuje w rozwój kolei, czy politycy tylko lubią o tym mówić?

– Politycy na pewno polubili kolej w ostatnich latach. Mam jednak wątpliwości, czy te ciepłe uczucia wobec kolei zawsze przekładają się na dobre decyzje. W Polsce brakuje podejścia systemowego, tak żeby pieniądze wydawane na kolej przynosiły realne efekty. Dużo funduszy trafia na modernizację linii kolejowych, na inwestycje w nowoczesny tabor, ale często zapomina się o najważniejszym, czyli o atrakcyjnej ofercie przewozowej. To odróżnia polską kolej od innych państw europejskich, że my wciąż mamy dużo linii, gdzie oferta jest bardzo słaba. Na niektórych odcinkach zamiast regularnych i częstych kursów kursują cztery pociągi w ciągu całego dnia.

Przykładem jest województwo warmińsko-mazurskie, gdzie pierwszy pociąg do Ełku z kierunku Olsztyna, Szczytna i Pisza przyjeżdża dopiero o godz. 12:03. To oznacza, że kolej nie zaspokaja nawet tak podstawowych potrzeb jak poranny dojazd do pracy i szkoły. Kwestia oferty cały czas jest zaniedbywana na różnych poziomach – stabilności rozkładu jazdy, częstotliwości i liczby połączeń, skomunikowania między nimi. Wciąż mamy za dużo linii, gdzie pociągów jest za mało.

– W Polsce bardzo popularne stało się sformułowanie „Tiry na tory". Popiera Pan tę opinię czy to tylko pusty slogan?

– „Tiry na tory" to przede wszystkim slogan, ale można go przekuć w bardziej konkretne podejście. My wiele lat temu zafascynowaliśmy się tym, co dzieje się w Austrii czy Szwajcarii, gdzie tiry przejeżdżają na platformach kolejowych, żeby zdjąć tranzyt z dróg przechodzących przez obszary cenne przyrodniczo. I Austria, i Szwajcaria są krajami mniejszymi od Polski, a na wykorzystywanej tranzytowo osi północ-południe po prostu krajami dość wąskimi. To oznacza, że jest tam po prostu łatwiej zrobić taki „most kolejowy" do wahadłowego przerzucania tirów na stosunkowo krótkim dystansie. I w takim znaczeniu hasło „Tiry na tory" jest w polskich warunkach utopią. Jaki jest bowiem ekonomiczny sens wieźć ciągnik siodłowy i naczepę pociągiem zamiast samego ładunku na wagonach? To marnotrawstwo zasobów.

Można jednak to hasło rozumieć szerzej. Ja interpretuję „Tiry na tory" jako wezwanie do poprawy warunków funkcjonowania kolei towarowej, tak aby generalnie stała się ona bardziej konkurencyjna wobec transportu drogowego.

– Wobec tego, czy ma Pan jakiś pomysł, jak poprawić tę rynkową atrakcyjność kolei towarowej?

– Moim zdaniem potrzebujemy programu wsparcia zakładów przemysłowych w budowie i utrzymaniu bocznic kolejowych. Duże zakłady

eprasa.pl 89271c7d1f

produkujące – dajmy na to – cement czy płyty pilśniowe coraz częściej starają się dostarczać swoje produkty koleją, zgodnie zresztą z trendami ekologicznymi.

Cement do wytwórni kostki brukowej czy płyty do fabryki mebli mogłyby dotrzeć koleją, ale odbiorcy nie są w stanie przyjąć pociągów, bo nie mają bocznic kolejowych. Koncepcja programu wsparcia przedsiębiorstw w budowie i utrzymaniu bocznic powstała kilka lat temu w PKP, ale niestety trafiła do szuflady i szybko o niej zapomniano.

JESTEM KRYTYCZNY WOBEC PRZYJĘTEGO MODELU RESTRUKTURYZACJI PKP CARGO, KTÓRY GENERALNIE BAZUJE NA OGRANICZANIU ZASOBÓW PRZEWOZOWYCH.

Bocznice to jednak tylko kwestia ostatniej mili, a problemy występują też na poprzednich setkach mil, które muszą przemierzyć pociągi towarowe – z wjechaniem na główne linie kolejowe często muszą one czekać kilka godzin, aż zakończy się szczyt w ruchu pasażerskim. Przez lata – także w ramach modernizacji linii kolejowych – likwidowano stacje i tory dodatkowe, które umożliwiały częste i szybkie przepuszczanie pociągów pasażerskich przez składy towarowe. Ograniczona przepustowość nie tylko wydłuża czas jazdy pociągów towarowych, ale też odbija się na ich punktualności. O ile część branż nawet może pogodzić się z tym, że pociąg jedzie przez 2 dni, o tyle kluczowe jest, aby do punktu docelowego dotarł punktualnie. Chodzi o to, żeby materiały do produkcji pojawiły się dokładnie wtedy, kiedy są potrzebne. I tutaj, pod względem punktualności i wpisywania się w filozofię „Just in time", tiry są niestety pewniejszym środkiem transportu od kolei. To musi się zmienić.

– W ubiegłym roku polska kolej przewiozła 231 mln ton towarów, z czego za jedną trzecią odpowiadał transport węgla kamiennego. Ogólnie przewozimy głównie surowce energetyczne, co podkreśla strategiczny charakter kolei. Czy można powiedzieć, że bez inwestycji w kolej nasza gospodarka po prostu nie będzie się rozwijać?

– Kolej jest bezalternatywnym środkiem transportu tylko dla części sektorów. Nie dowieziemy węgla z kopalni do elektrowni ciężarówkami – to jest niewykonalne. Dla sektora energetycznego kolej jest właściwie

eprasa.pl 89271c7d1f

niezastępowalnym środkiem transportu.

W ostatnich dekadach kolej towarowa porzuciła natomiast mniejszych klientów, którzy mają alternatywę w postaci transportu drogowego. Efektem tego jest to, że lokalne drogi są penetrowane przez tiry jadące do mniejszych odbiorców, którzy zamawiali tylko kilka wagonów tygodniowo. Kolej uznała, że obsługa tak małych klientów się nie opłaca, bo wiązało się to z koniecznością dowożenia wagonów do stacji rozrządowych, formowania dłuższych składów i potem rozwożenia wagonów do klientów. Najpierw jeszcze niepodzielone PKP, a potem już PKP Cargo robiło dużo, aby pozbyć się takich małych klientów.

Szkoda, bo dla PKP Cargo to była nisza, która pozwalała mieć przewagę nad resztą rynku i nowymi przewoźnikami. Państwowy operator był tutaj bezkonkurencyjny, bo nikt inny nie miał na terenie całego kraju takich zasobów: stacji rozrządowych, lokomotyw manewrowych, pracowników obsługi potrzebnych do łączenia składów.

Później zaczęli pojawiać się konkurencyjni przewoźnicy kolejowi. I to zarówno zagraniczni, jak i krajowi w postaci PKN Orlen, KGHM czy Grupy Azoty. Te wielkie koncerny przemysłowe – także na skutek kiepskiej współpracy z PKP Cargo – zaczęły przekształcać swoje koleje wewnątrzzakładowe w przewoźników obsługujących dłuższe relacje. Po prostu doszły do wniosku, że lepiej być niezależnym i samemu wozić surowce czy ekspediować produkty. Z czasem zaczęły też rozwijać działalność i obsługiwać inne podmioty, podbierając klientów spółce PKP Cargo.

Zaczęła się więc wielka walka o duże kontrakty i wtedy PKP Cargo już ostatecznie zaniedbało małych klientów. A duża baza małych klientów z przeróżnych branż mogła być dla spółki PKP Cargo zabezpieczeniem zarówno na wahania koniunktury w dużych branżach, jak i utratę dużych kontraktów.

– W naszym kraju najwięcej towarów przewozi po torach PKP Cargo. Najnowsze dane mówią o 27 proc. udziału w rynku przewozów towarowych według masy. Tendencja jest w tym wypadku spadkowa. Jeśli PKP Cargo traci, to kto na tym korzysta?

– My generalnie od lat mamy przewozy na tym samym poziomie. Problem polega na tym, że na kolei nie rośnie całościowa masa przewozowa. Wahania dotyczą rynkowego udziału poszczególnych przewoźników, czyli zależą od tego, kto komu wyrwie więcej kontraktów.

Tym, co blokuje możliwość przyjęcia nowych towarów, jest ograniczona przepustowość naszej sieci kolejowej czy za mała sieć punktów ładunkowych i brak bocznic kolejowych do zakładów produkcyjnych. W dużej mierze kolej towarowa kręci się więc w kółko – walka między przewoźnikami toczy się o wciąż tych samych klientów, a nie o nowych, którzy z kolei obecnie w ogóle nie korzystają.

W PKP CARGO POPEŁNIANE SĄ TERAZ DOKŁADNIE TE SAME BŁĘDY CO W LATACH 90.

– Jak wobec tego ocenia Pan restrukturyzację w PKP Cargo przeprowadzaną przez prezesa Marcina Wojewódkę? Czy redukcja niemal 30 procent etatów nie pogłębi problemów spółki? Zwolnienia wiążą się także z likwidacją oddziałów terenowych PKP CargoTabor, które remontują i utrzymują tabor.

– Nie ukrywam tego, że jestem krytyczny wobec przyjętego modelu restrukturyzacji PKP Cargo, który generalnie bazuje na ograniczaniu zasobów przewozowych. Mam bowiem w pamięci poprzednie dwa duże kryzysy, które wpłynęły również na to, w jakiej kondycji spółka jest obecnie. Kryzysy te wynikały ze zbyt małych zasobów względem pojawiających się potrzeb przewozowych.

Pierwszy kryzys nastał w 2017 r. i był spowodowany zamknięciem linii Warszawa – Lublin na czas modernizacji. Wymusiło to objazdy i w efekcie strategiczna trasa z kopalni Bogdanka do elektrowni Kozienice, największej polskiej elektrowni opalanej węglem kamiennym, wydłużyła się ze 128 do 232 km. To spowodowało, że zaczęło brakować taboru do przewożenia węgla, czyli węglarek. Problem szybko rozlał się na całą Polskę – z jednej strony elektrownie alarmowały Urząd Regulacji Energetyki, że mają za małe rezerwy, bo kolej nie dostarcza węgla na czas, a z drugiej strony kopalnie grzmiały, że nie mają gdzie składować wydobywanego węgla, bo kolej nie podstawia wagonów. Ucierpiały też inne branże, bo węglarki to wagony uniwersalne, którymi wozi się też kruszywa, złom czy płody rolne. To była duża afera polityczna, która skończyła się dymisją prezesa Macieja Libiszewskiego i utratą kontraktów przez PKP Cargo. Libiszewski wskazywał, że źródłem

eprasa.pl 89271c7d1f

problemów było zezłomowanie zbyt dużej liczby wagonów w poprzednich latach, a więc właśnie dostosowanie zasobów do małej skali przewozów.

– A drugi kryzys?

– Drugi kryzys nastąpił po napaści Rosji na Ukrainę i nałożeniu embarga na rosyjski węgiel. Wówczas trzeba było w sposób nagły zmienić kierunki dostaw – z różnych części świata zaczął on przypływać do portów bałtyckich. Dla rządu priorytetem było, aby węgiel przypływający z innych kontynentów rozdysponować po kraju. I PKP Cargo musiało zrezygnować z części kontraktów, aby obsłużyć to kryzysowe zadanie. Wtedy część klientów odeszła do konkurencji. Był to sygnał, że PKP Cargo nie jest godnym zaufania partnerem, bo nagle zrywa podpisane kontrakty przewozowe. To był kolejny kryzys spowodowany zbyt małymi zasobami, które nie wystarczały do obsługi zawartych kontraktów i jednocześnie podjęcia się nowego interwencyjnego zadania.

Aktualna restrukturyzacja PKP Cargo znowu ma na celu zmniejszenie zasobów spółki. Po raz kolejny dostosowujemy firmę do małych zasobów, zamiast walczyć o to, żeby je wykorzystać do zwiększenia masy przewozowej. Skoro są przerosty zatrudnienia i taboru, to odpowiedzialny menedżer powinien walczyć o nowe kontrakty, żeby te przerosty zagospodarować i po prostu zacząć na nich zarabiać. Charakterystyczne w tymczasowym zarządzie PKP Cargo jest jednak to, że nie ma w nim nikogo, kto się zajmuje ofensywą rynkową i zdobywaniem klientów.

Mamy Marcina Wojewódkę, który jest specjalistą od zwalniania pracowników. Jak trafnie powiedział Leszek Miętek, szef Związku Zawodowego Maszynistów, zwalnianie pracowników jest pasją Wojewódki. Mamy też Pawła Miłka, który jest syndykiem, czyli zajmuje się zagospodarowywaniem majątku po upadłych przedsiębiorstwach. No i mamy Monikę Starecką, która jest restrukturyzatorką pracującą w przeszłości w przeróżnych firmach – od sklepów z zabawkami Smyk przez sieć pizzerii Telepizza po elektrownie Vattenfall. W tym trzyosobowym zarządzie nie ma nikogo, kto zajmowałby się zdobywaniem kontraktów przewozowych. Dla mnie naturalnym ruchem byłoby podebranie do PKP Cargo menedżera z prywatnej konkurencji, który na co dzień zajmuje się wyrywaniem kontraktów przewozowych. Żeby dalej robił to samo, tylko w drugą stronę, czyli żeby zabierał dla PKP Cargo klientów innym przewoźnikom. To byłby sygnał, że celem rządu nie tylko jest restrukturyzacja, ale jednocześnie też zwiększanie masy przewozowej.

W TRZYOSOBOWYM ZARZĄDZIE PKP CARGO NIE MA NIKOGO, KTO ZAJMOWAŁBY SIĘ ZDOBYWANIEM KONTRAKTÓW PRZEWOZOWYCH.

– Jak zatem widzi Pan przyszłość PKP Cargo? Co polski przewoźnik powinien zrobić, aby powrócić do gry i zdobyć zapowiadane przed laty 50 proc. udziałów w rynku?

– Rozumiem, że przewoźnicy towarowi, w tym PKP Cargo, muszą przygotowywać się na różne trendy. Skoro pojawił się trend, że rezygnujemy z węgla i nasz miks energetyczny ma być oparty na innych zasobach, to przewoźnik oczywiście musi być gotowy na wypełnienie luki po węglu. I to jest jeden filar, czyli strategia na przyszłe lata. Ale drugi filar to sytuacja obecna. Przewoźnik towarowy ma po prostu przewozić to, co przedsiębiorcy chcą przetransportować. Skoro dzisiaj węgiel cały czas jest ważnym towarem, masowo przewożonym na kolei, to nie można mówić: czasy węgla mijają, więc już dziś musimy zrezygnować z jego przewozów. To byłoby rynkowe harakiri.

Wciąż nie widzę w PKP Cargo planu na najlepsze wyjście z kryzysu, czyli planu zdobywania nowych zamówień i zwiększenia masy przewozowej. To restrukturyzacja w najgorszym tego słowa znaczeniu – zwolnić pracowników, zmniejszyć zasoby taborowe, zrezygnować z obecności w niektórych lokalizacjach i generalnie dopasować się do mniejszej skali działalności. To jest powrót do lat 90., kiedy na kolei panowała doktryna dostosowywania zasobów do malejących przewozów. To się później zemściło, bo kolej nie była w stanie szybko wrócić na ścieżkę rozwoju. Niestety w PKP Cargo popełniane są teraz dokładnie te same błędy.

Karol Trammer – dziennikarz zajmujący się koleją, twórca i redaktor naczelny dwumiesięcznika „Z Biegiem Szyn", autor książki „Ostre cięcie. Jak niszczono polską kolej".

eprasa.pl 89271c7d1f

Polska na wyprzedaży

Nie chodzi o to, by zostawić PKP Cargo w formie mocno zredukowanej, okrojonej do granic możliwości, bo „takie są potrzeby rynku". Pytanie, czy **Polskę stać** na infrastrukturę poszatkowaną, rozdzieloną między różne podmioty międzynarodowe wobec wojny za wschodnią granicą, wydaje się retoryczne.

Jakub Pacan

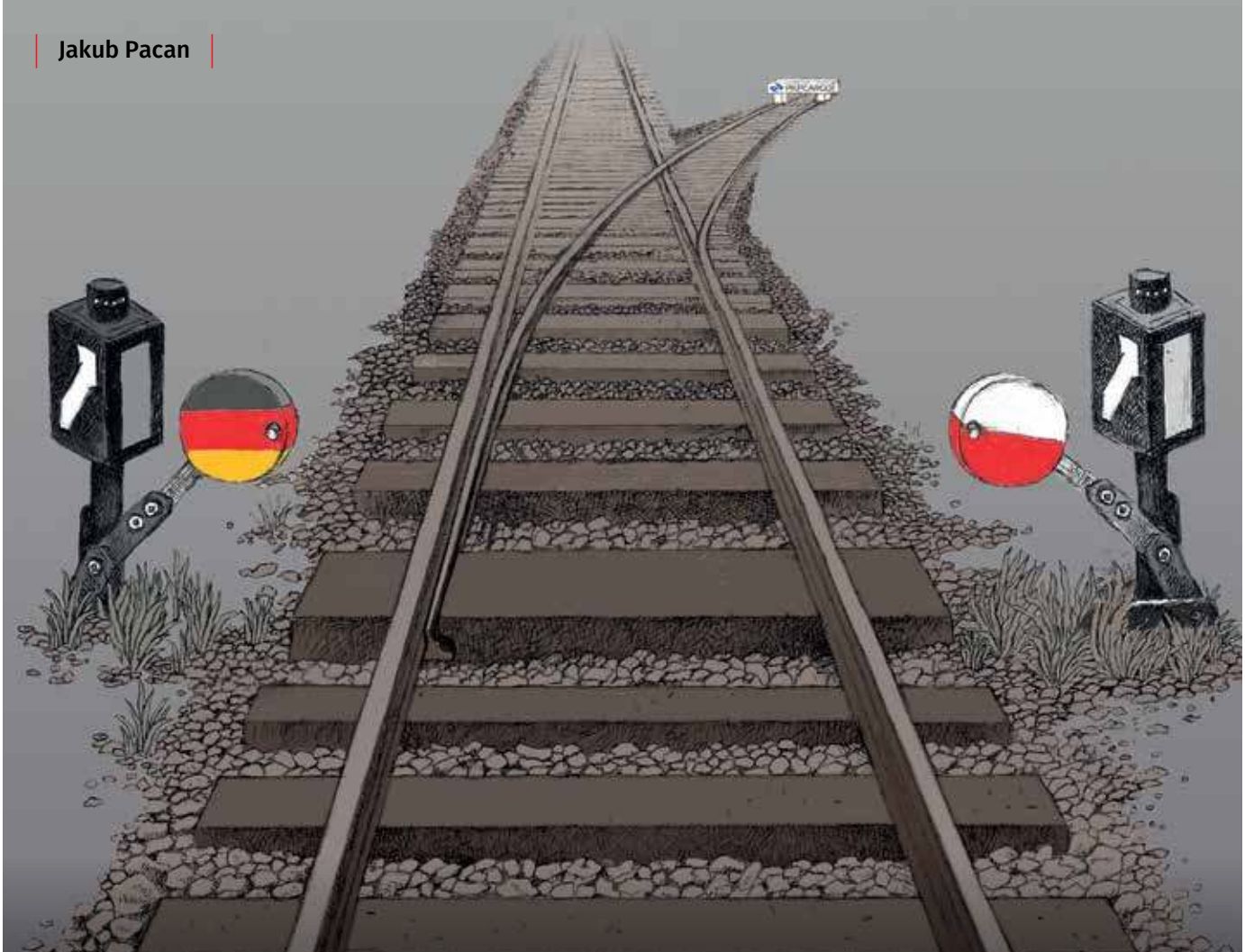

Prof. Witold Kieżun mówił, że na początku lat 90., pracując w Banku Światowym, rozmawiał z decydentami, którzy podczas spotkań na lunchach opowiadali mu, jak to zamknęli jedną, dwie lub trzy kopalnie w Polsce, nie kojarząc, że jest on akurat z tego kraju. Znawcy tematu znają ten mechanizm, państwo, które formalnie jeszcze funkcjonuje, ale de facto jest już z dykty, staje się wielkim jarmarkiem z tanimi wyprzedażami. Później zaczyna się upadek faktyczny, ponieważ żadne państwo nie może istnieć bez własności. Państwo bez własności, pozbawio-

Proj. Zygmunt Zaradkiewicz

eprasa.pl 89271c7d1f

ne spółek strategicznych podobne jest do motorówki bez silnika i napędu, jest bezbronne na najmniejszych nawet falach, a co dopiero na takich falach geopolitycznych, jakimi miotana jest teraz polska łódka.

Owszem, można zawrócić znad takiej przepaści, co pokazała Polska właśnie w latach 90., choć w relacjach właścicielskich bardzo mocno osłabiona, czy Węgry, które przed objęciem rządów przez Viktora Orbána musiały „kupować wodę z Dunaju od francuskiej firmy państwowej".

Jednak mamy rok 2024 i Polska pod rządami Donalda Tuska już jest tak słaba i tania, że wykupują nasze przedsiębiorstwa nie tyle giganci wielkich korporacji z Niemiec, Francji czy Japonii, co nawet firmy ukraińskie, a na rynku kolejowym świetnie rozwijają się podmioty czeskie. Złośliwcy rozsiewali nawet plotki, że i na PKP Cargo apetyty mieli nasi walczący bracia ze Wschodu. To nieprawda, ale Polska powinna się od nich uczyć. Kraj proszący nieustannie świat o kroplówkę finansową zdobywa równocześnie dla siebie rynek polski i stwarza konkurencję dla i tak słabego PKP Cargo.

Dobra kondycja PKP Cargo jest szalenie istotna dla polskiego rynku kolejowego i zatrudnionych tu pracowników, ponieważ w skład Grupy PKP Cargo wchodzi aż 20 spółek zależnych. W większości z nich PKP Cargo ma 100 proc. udziałów.

Zła restrukturyzacja spółki matki, zwalnianie ludzi bez oglądania się na ich sytuację, nieliczenie się ze stroną społeczną wprowadza złą kulturę organizacyjną w Cargo i jeszcze bardziej je osłabia. Po planach sanacji PKP Cargo zapowiadanej przez obecny zarząd, a przywołującej w pamięci szokowe terapie z początku lat 90., może nastąpić chaos przeniesiony na spółki zależne i dalej na podwykonawców i dostawców. Kolej to system naczyń połączonych.

Inni korzystają

– Trudno znaleźć wolny czas, tak dużo jest nadgodzin – mówi nam dyspozytor ruchu w jednej z górnośląskich prywatnych spółek – im słabsze PKP Cargo, tym większe możliwości dla firm prywatnych, a że konkurencja jest duża, to każdy chce wykorzystać tę szansę. Przejmujemy część przewozów od PKP Cargo – tłumaczy.

Na rynku kolejowym nie ma próżni. Sytuację mogą wykorzystać spółki prywatne, które są na naszych torach doskonale zorganizowane, mają sieć rozbudowanych usług logistycznych oraz doskonały tabor i bardzo chętnie przejmują od PKP CARGO wykwalifikowanych pracowników. To zresztą jeden z problemów państwowego przewoźnika, gdzie z jednej strony mamy wysoką średnią wieku pracowników, z drugiej – młodzi przeszkoleni przez państwowy podmiot kuszeni propozycjami lepszej stawki w sektorze prywatnym odchodzą.

– My jako spółka córka nie odczuwamy jeszcze tego kryzysu, jednak jest strach przed zapowiadaną restrukturyzacją, znikła gdzieś pewność stabilnej pracy na państwowym. Rozmawiamy z ludźmi innych spółek PKP Cargo i panuje przeświadczenie, że te podmioty, które generują zyski w ramach grupy kapitałowej, będą dopłacały do spółki matki. Dlatego boimy się o nasze płace, ale i np. politykę zakupową, czy w ramach oszczędności dopniemy planowane zakupy i czy w ogóle będzie nas stać na nowe inwestycje – mówi nam specjalista ds. zakupów i zaopatrzenia jednej ze spółek zależnych od PKP Cargo na Śląsku.

> PO PLANACH SANACJI PKP CARGO ZAPOWIADANEJ PRZEZ OBECNY ZARZĄD, A PRZYWOŁUJĄCEJ W PAMIĘCI SZOKOWE TERAPIE Z POCZĄTKU LAT 90., MOŻE NASTĄPIĆ CHAOS PRZENIESIONY NA SPÓŁKI ZALEŻNE.

Ogromny apetyt na przejęcie znacznej części rynku przewozów towarowych mają spółki powiązane z niemieckim koncernem państwowym Deutsche Bahn, który dotuje państwo niemieckie.

PKP Cargo kluczowe

– Natomiast trzeba mieć na uwadze, że nadal PKP Cargo mimo problemów to kluczowa spółka dla polskiej gospodarki, mająca największym tabor oraz zaplecze materialne i ludzkie. Nie można dopuścić do ich upadku. Co prawda rynek nie znosi próżni i zaraz wejdą nowe podmioty, ale tutaj największym zagrożeniem może być zagraniczny kapitał. Już teraz czeska spółka CD Cargo ma olbrzymi udział w naszym rynku i tylko rośnie w siłę przy problemach

eprasa.pl 89271c7d1f

naszego PKP Cargo. No i DB Cargo, co oznacza, że w tym momencie Niemcy i Czesi wykorzystują nasze problemy. Upadek PKP Cargo może się wiązać z zagrożeniem dla bezpieczeństwa kraju, mają umowy na realizowanie przewozów wojskowych, posiadają do tego specjalistyczny sprzęt – mówi Gabriel Drabek, specjalista ds. sprzedaży infrastruktury kolejowej w jednej z prywatnych polskich firm.

Położenie geopolityczne sprawia, że zagadnienia transportu i logistyki kolejowej w naszym kraju są trochę zerojedynkowe. Z jednej strony dobrze zorganizowana sieć linii kolejowych to ogromne źródło pieniędzy dla kraju położonego w Nizinie Środkowoeuropejskiej, będącego połączeniem Wschodu i Zachodu, z drugiej brak polskiej własności na tym obszarze to zagrożenie egzystencjalne dla nas, no bo ktoś przez ten obszar musi owe towary przewozić. Niestety Polska z niewiadomych przyczyn nie przyjęła propozycji Chin, by zostać wielkim hubem nowego Jedwabnego Szlaku, dlatego Chińczycy przenieśli inwestycję do węgierskiej miejscowości Fényeslitke.

Kolej stanowi też infrastrukturę krytyczną na wypadek konfliktu zbrojnego o fundamentalnym wręcz znaczeniu. Wojskowi zwykli żartować, że gdy widać gdzieś tory prowadzące do lasu lub w środku lasu, to niechybny znak, że w pobliżu jest jednostka wojskowa.

Wciąż podnoszą się głosy, że kończy się węgiel i PKP Cargo nie będzie już takim olbrzymem i musi się z tym pogodzić. Nie chodzi o to, by zostawić PKP CARGO w formie mocno zredukowanej, szczątkowej, okrojonej do granic możliwości, bo „takie są potrzeby rynku". Pytanie, czy Polskę stać na infrastrukturę poszatkowaną, rozdzieloną między różne podmioty międzynarodowe i mniejszych graczy prywatnych wobec wojny za wschodnią granicą, wydaje się retoryczne.

POLSKI RZĄD I WŁADZE PKP DOSKONALE WIEDZĄ, ŻE NA WYPADEK KRYZYSU MIĘDZYNARODOWEGO LOJALNOŚĆ OBCYCH PODMIOTÓW WOBEC NASZEGO PAŃSTWA BĘDZIE UMOWNA.

ŁATWO CIĄĆ KOSZTY PRZEZ REDUKCJĘ ZATRUDNIENIA, TA BRANŻA MA JEDNAK TO DO SIEBIE, ŻE NIE WYKSZTAŁCI SIĘ KOLEJARZA W KRÓTKIM CZASIE.

Czołgi na tory

Tutaj na szczęście inwestycje są realizowane. „Bez wielkiego rozgłosu, który towarzyszy podobnym inwestycjom cywilnym, od około dwóch dekad regularnie prowadzone są prace mające na celu dostosowanie polskiej sieci kolejowej do potrzeb wojska. Dotyczy to głównie remontów niewykorzystywanych od lat odcinków linii kolejowych biegnących w rejon poligonów bądź dużych baz. PKP PLK zrealizowały więc na zlecenie rządu modernizację kilku tras, m.in. do Regien, Orzysza, Krapkowic, Maszewa Lęborskiego czy Przewozu. Inwestowanie publicznych środków w ważną dla celów obronnych infrastrukturę transportową nie jest więc nowością" – pisze Kasper Fiszer w artykule „Kolej sprawdza się w trudnych warunkach. Wojsko planuje inwestycje".

Polski rząd i władze PKP doskonale wiedzą, że na wypadek kryzysu międzynarodowego lojalność obcych podmiotów wobec naszego państwa będzie umowna. Dlatego w wielkich planach dostosowywania kolei do potrzeb rynku warto mieć z tyłu głowy, że utrzymanie ogromnej i skomplikowanej infrastruktury kolejowej wymaga rzeszy dobrze wyszkolonych ludzi, których szkolenie trwa miesiącami, a nawet latami, i obudowane jest całym skomplikowanym systemem kursów, egzaminów, licencji, pozwoleń. Łatwo ciąć koszty przez redukcję zatrudnienia, ta branża ma jednak to do siebie, że nie wykształci się kolejarza w krótkim czasie.

eprasa.pl 89271c7d1f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Magdalena Okraska

Nasi sąsiedzi

Z zawodu jestem pracownikiem socjalnym, co oznacza, że staję twarzą w twarz z każdym właściwie problemem, jaki może mieć drugi człowiek. Choroba, niepełnosprawność skutkujące ubóstwem? Lecę. Uzależnienia, bezdomność, rozpad rodziny? Pomoc społeczna zadba o schronienie i zabezpieczy pierwsze potrzeby. Rodzina wielodzietna z długami i komornikiem na karku? Wiecie, gdzie mnie szukać.

Spełniam się w tej pracy, jak wiele moich kolegów i koleżanek – głównie zresztą koleżanek, bo zawód jest sfeminizowany, pomimo jego oczywistych zagrożeń. To niełatwa praca, w której o siódmej rano absolutnie nie wiadomo, co wydarzy się tego dnia; i czasem to dobrze, bo jeszcze ciężej byłoby mieć z góry świadomość, że to właśnie dziś pojawi się bezdomna nastolatka albo zagubiony stary człowiek bez środków do życia. Niektóre wizyty w środowisku śnią się potem po nocach, niektóre widoki nigdy nie znikną spod powiek. Nic, robimy to, bo ktoś powinien. To praca małych kroków, praca pozbawiona większych sukcesów i całkowitych odmian losu, jakie znamy z amerykańskich filmów. Takie cuda to nie u nas – tutaj sukcesem jest, że podwyższono zasiłek stały albo że ktoś nie pije od miesiąca.

Tym, co boli mnie w tej pracy, jest jej odbiór społeczny. Od fałszywego współczucia („podziwiam cię, ja bym nigdy nie mogła, jestem zbyt wrażliwa") po wyśmiewanie czy ataki na beneficjentów pomocy, posiłkowane społecznymi wyobrażeniami na ich temat. „Straszna patologia", „nic się nie powinno należeć", „do roboty", „dzieci sobie narobiła" – to jedne z delikatniejszych opinii, jakich muszę wysłuchać. Cały czas tli się też w nas kolektywne przekonanie, że korzystanie z pomocy społecznej to wstyd, ostateczność.

Nie. To nasze wspólne pieniądze, które mają nas wszystkich wspierać. To nasze wspólne paczki żywnościowe, wspólne zasiłki, wspólne obiady dla potrzebujących. Jestem dumna, że nasz system pozwala na tego typu wsparcie. Nie żałuję nikomu publicznych pieniędzy i usług – bo są także moje, są także jego.

Dodatki w rodzaju 800+ wydawały się zmieniać podejście do dawania środków „za nic", tylko za to, że jest się obywatelem konkretnego kraju. Po ośmiu latach od startu programu coraz mniej osób myśli, że „powinno tego nie być" albo „tylko dla pracujących", również dlatego, że widzą, jak taka pomoc zmieniła na lepsze życie dzieci i całych rodzin.

Ale pomoc społeczna to w powszechnym oglądzie inna bajka. To wspieranie „pijaka" albo faceta, który pracował na czarno, a teraz walnął mu kręgosłup. To finansowanie jedzenia czy rachunków osobie, która czasem nie jest miła, uśmiechnięta ani spokojna. Tylko że nie możemy wybierać, komu „warto pomóc", a kto w społecznym odbiorze nie rokuje.

Nie musi „rokować". W kapitalizmie każdy z nas jest kilka kroków od bezdomności, niektórzy po prostu bliżej skraju. To my. To nasi sąsiedzi.

eprasa.pl 89271c7d1f

#MakeCargoGreatAgain. Szkoda, że nie u nas

W czasie kiedy polski rząd rozpoczął faktyczną likwidację – albo mocne osłabienie – narodowego przewoźnika kolejowego, kraje bałtyckie **kończą budowę największego od dekad projektu kolejowego w Europie**. Linie kolejowe Rail Baltica połączą Skandynawię oraz północną i wschodnią Europę z resztą kontynentu superszybkimi kolejami cargo i pasażerskimi.

Wojciech Kulecki

Fot. M. Żegliński

Podstawowym założeniem wspólnego projektu Litwinów, Łotyszy i Estończyków było utrzymanie i zwiększenie zatrudnienia oraz stworzenie kolei kontrolującej transport lądowy na kontynencie i pośredniczenie w handlu z krajami Azji. Pierwsze pociągi Rail Baltica mają ruszyć do Europy już w przyszłym roku.

Kolej za unijne miliardy

Bałtycko-skandynawski koncern Rail Baltica to jeden z największych europejskich projektów infrastruktury dużych prędkości, którego celem jest utworzenie nowoczesnego i zrównoważonego połączenia kolejowego łączącego państwa bałtyckie: Estonię, Łotwę i Litwę, z europejską siecią kolejową. Jest również częścią transeuropejskiego korytarza transportowego.

Rail Baltica będzie w pełni zelektryfikowaną, dwutorową koleją o standardowym rozstawie torów 1435 mm, wyposażoną w ERTMS (Europejski System Zarządzania Ruchem Kolejowym) i zaprojektowaną tak, aby spełniała wszystkie europejskie normy. Przy projektowej prędkości 249 kilometrów na godzinę Rail Baltica znacznie skróci czas podróży między państwami bałtyckimi a głównymi miastami europejskimi. Będzie służyć jako nowoczesna infrastruktura dla mobilności pasażerów, towarów i wojska – ma także ułatwiać biznes,

eprasa.pl 89271c7d1f

promować turystykę i wymianę kulturalną. Projekt wzmocnić ma również pozycję regionu bałtyckiego jako ważnego węzła tranzytowego, wspierając silniejsze połączenia handlowe, również z Chinami i Indiami.

Modelem budowy i funkcjonowania największego projektu europejskich kolei jest partnerstwo publiczno-prywatne przy zastrzeżeniu, że prawa właścicielskie pozostaną w rękach rządów Litwy, Łotwy i Estonii, zaś obecni pracownicy kolei nie stracą pracy. Zamiast tego zostaną przeszkoleni do obsługi najnowocześniejszych na kontynencie pociągów.

Na zbudowanie kolei, które mają zagwarantować transport ludzi i towarów superszybkimi pociągami z ostatnią stacją w Lizbonie, w Portugalii pieniądze wyłożyli nie tylko prywatni inwestorzy. Trafiły tam również fundusze z europejskiego programu Connecting Europe Facility (Łącząc Europę) – na razie 1,394 mld euro, choć Rail Baltica zapowiada, że będzie się starać o kolejne pieniądze w przyszłorocznym budżecie unijnym. Ma na nie szanse, bo Rail Baltica nie ma konkurentów w naszej części kontynentu. Polskie Koleje Państwowe, które były zaproszone do współpracy w ramach projektu, nie zdecydowały się na nią, a obecnie zamiast rozwijać infrastrukturę, robią niezrozumiały krok do tyłu, m.in. zwalniając kilka tysięcy osób ze spółki PKP Cargo.

Dzisiaj dla unijnych biurokratów decyzja PKP Cargo właściwie jest na rękę. Polski przewoźnik nie będzie już pośrednikiem w handlu między Wschodem a Unią Europejską. Wystarczy, że PKP udostępni – a będzie musiało wobec unijnej polityki spójności – sieć trakcyjną odpowiedniej jakości. Resztę załatwią pociągi nowo powstającej transbałtyckiej kolei.

Kręgosłup obronności

Bałtowie od początku wiedzieli, że projekt jest dla nich szansą nie tylko na konkurowanie na rynku transportu towarowego. To przede wszystkim wsparcie dla gospodarki i pomoc dla firm, które zajmują się obsługą kolei – od budowy wagonów i kładzenia nowych torów, przez tworzenie infrastruktury telekomunikacyjnej, do świadczenia w przyszłości usług na rzecz Rail Baltica. To nie tylko remont wagonów i naprawa lokomotyw, ale także wagony restauracyjne czy supernowoczesne dworce ze znajdującymi się niedaleko niewielkimi hotelami, w których będą mogli nocować podróżni lub pracownicy.

– Rail Baltica to coś więcej niż projekt regionalny, który łączy Estonię i państwa bałtyckie z rozległą siecią kolejową Europy. Tworzy nowe możliwości wzrostu gospodarczego i poprawia mobilność na całym kontynencie – mówi Vladimir Svet, minister infrastruktury Estonii. – Chociaż często omawiamy Rail Baltica w kontekście transportu pasażerskiego i towarowego, ich rola jako strategicznego kręgosłupa mobilności wojskowej na wschodniej flance NATO w obliczu trwającej agresywnej wojny Rosji na Ukrainie staje się coraz ważniejsza.

> Dla unijnych biurokratów decyzja PKP Cargo właściwie **jest na rękę**. Polski przewoźnik nie będzie już pośrednikiem w handlu między Wschodem a Unią Europejską.

Przy okazji budowy sieci kolejowej rząd w Wilnie zatwierdził specjalny plan rozwoju stacji regionalnych na odcinku Rail Baltica od Kowna do granicy litewsko-łotewskiej, dając możliwość połączenia głównej linii Rail Baltica z kilkoma regionami na Litwie. Zatwierdzenie specjalnego planu przez rząd umożliwiło budowę nowych stacji z niezbędną infrastrukturą inżynieryjną.

– Dworce regionalne są ważną częścią projektu Rail Baltica, zapewniając wygodniejsze połączenia i możliwości transportu towarów nową linią kolejową. Obecnie szczególnie ważne jest zapewnienie przyspieszenia budowy tej superszybkiej europejskiej kolei w naszym kraju – mówi Mindaugas Tarnauskas, litewski wiceminister transportu i komunikacji.

Z dostępem do portów i lotnisk

– W przyszłości, zgodnie z potrzebami, priorytetami i dostępnymi funduszami, możliwe będzie wybudowanie do 7 regionalnych stacji kolejowych i przystanków, w tym stacji pasażerskiej Vaškai, stacji pasażerskiej i towarowej Joniškėlis, przystanku pasażerskiego Ramygala, przystanku pasażerskiego Pasraučiai, przystanku pasażerskiego Ručiūnai, stacji towarowej oraz pasażerskiej Jonava. Instalacja regionalnych stacji kolejowych i przystanków zapewni ciągły rozwój infrastruktury w kolejnych fazach – dodaje Justas Vyžintas, kierownik LTG Infra w Rail Baltica Management.

Litwini pracujący przy projekcie zwracają uwagę, że pociągi Rail Baltica będą również jeździć do największych lotnisk u nich i w całej Europie, a także do morskich portów przeładunkowych.

– To oczywiste, że będziemy uzupełnieniem światowej sieci transportu towarowego. Jednak będziemy również jego doskonałą alternatywą w przypadku problemów geopolitycznych czy klimatycznych. Gdyby była taka konieczność, będziemy gotowi zastąpić ruch morski na Bałtyku albo lotniczy w Europie – deklarują.

eprasa.pl 89271c7d1f

TRZECH LIBKÓW w łódce (nie licząc Donka)

Radosław Sikorski i Szymon Hołownia

Fot. Jakub Porzycki / Forum

„Nie istnieją dwaj liberałowie, którzy zgadzają się co do tego, czym jest liberalizm". Ta „niezgoda" jest jednak **sprytną formą** monopolizacji oferty ideowej dla współczesnych społeczeństw. Znajduje to odbicie i w naszej krajowej polityce.

Ludwik Pęzioł

eprasa.pl 89271c7d1f

Wyborcom często prezentowane są liczne oblicza liberalizmu, które zamiast wystąpić z otwartą przyłbicą, podszywają się pod hasła miłe uszom elektoratów od prawa do lewa. Ich głosiciele dają Polakom iluzję wyboru, która dodatkowo utwierdza hegemonię polityczną liberalizmu ze wszystkimi tego konsekwencjami – interes większości Polaków (zwłaszcza należących do szeroko pojętych klas ludowych), nie jest dostatecznie reprezentowany, bo oni sami zostają zwiedzeni drugorzędnymi różnicami ideowej oferty, podczas gdy twarde jądro dominacji interesu wąskich grup obywateli bogatszych i bardziej wpływowych pozostaje niezmienne. Najlepiej zilustrować tę praktykę postawami konkretnych postaci obozu rządzącego, które – choć zdawałyby się od siebie odmienne – w systemie demoliberalnego kapitalizmu odnajdują dokładnie tych samych beneficjentów.

Hołownia, czyli liberalizm świętego spokoju

Gdzieś na przecięciu pełnych blichtru i samozadowolenia „wyższych sfer" z Kościołem katolickim powstaje konflikt wartości, który można próbować rozwiązać bałamutnym uznaniem dialogu, kompromisu czy tolerancji za najgłębszą i najistotniejszą treść chrześcijaństwa. Prekursorem tego typu aksjologicznego fałszerstwa był, próbujący pożenić Kościół z obozem postępowym Adam Michnik, zaś jego pośrednimi i bezpośrednimi dziedzicami: nurt katolicyzmu otwartego oraz współczesny „fajnokatolicyzm" ze swoim naczelnym „fajnoteologiem" Szymonem Hołownią. Wszystkie te nurty stanowią próby stopienia katolicyzmu z liberalizmem, a co do istoty rzeczy różnią się od siebie jedynie estetyką. W ich myśl wszyscy powinni się „pięknie różnić", zaś naczelnym zadaniem polityki państwa jest tworzenie warunków, w których ludzie nie rzucają się sobie do gardeł, pomimo panującej między nimi różnicy zdań. Bezpodstawnie zakłada przy tym, że nieustannie siedzimy na beczce prochu społecznych antagonizmów, które – niepowstrzymane w czas – rychło skończą się niekontrolowanym rozlewem krwi. Próbuje on także przemycać w swojej retoryce prymitywne zasady coachingowe w rodzaju: „Ja jestem OK, ty jesteś OK", zarówno do życia politycznego, jak i religijnego, wmawiając przy tym, że jeżeli ta koncepcja nie zwycięży, do głosu dojdą niebezpieczne ekstremizmy, które na wieki pogrążą kraj w ruinie. Według takiego „liberalizmu świętego spokoju" w wydaniu Szymona Hołowni wizja zarówno konserwatywnej, jak i klasycznie lewicowej polityki (a także tradycyjne rozumienie doktryny katolickiej) niosą za sobą zagrożenie rozgorzenia wewnętrznej bratobójczej wojny między Polakami. Stąd w jego retoryce tyle rytualnych potępień wszelkiej „polaryzacji" i tyle podkreśleń konieczności „ostudzenia emocji" i „sklejania Polski". Łatwo jednak zauważyć, że w warunkach obecnych zaprowadzanie „świętego spokoju" jest równoznaczne z impregnowaniem liberalnego status quo, a histeryczne prognozy nadciągającej „wojny domowej" służą dyscyplinowaniu każdego, komu obecny liberalny układ się nie podoba.

Drugim aspektem katoliberalnej działalności Hołowni

LIBERALIZM ŚWIĘTEGO SPOKOJU MA NA CELU UŚPIENIE, STYGMATYZOWANIE I WYSTRASZENIE TYCH WARSTW SPOŁECZNYCH, KTÓRE MOGŁYBY UPOMNIEĆ SIĘ O SWÓJ KAWAŁEK TORTU.

PROGRAM ŚWIECKIEGO PAŃSTWA PRZEDSTAWIONY PRZEZ HOŁOWNIĘ W SWOIM RADYKALIZMIE DORÓWNUJE PROPOZYCJOM SKRAJNEJ LEWICY, PEŁNI JEDNAK ZUPEŁNIE ODMIENNĄ FUNKCJĘ.

eprasa.pl 89271c7d1f

jest odcinanie ustawową siekierą Kościoła katolickiego od wszelkich przejawów państwowej polityki, choćby i w sposób bezpośredni dotyczyła ona moralności publicznej (często pod pretekstem chronienia moralnej czystości i uniwersalistycznego charakteru chrześcijaństwa). Program świeckiego państwa przedstawiony przez Hołownię w swoim radykalizmie dorównuje propozycjom skrajnej lewicy, pełni jednak zupełnie odmienną funkcję. Nierozerwalnie związana z nauczaniem katolickim idea sprawiedliwości społecznej jest bowiem zwyczajnie nie do pogodzenia z nieskrępowaną władzą wielkiego kapitału. Kościół musi zatem zostać pozbawiony wszelkich instrumentów politycznych, którymi mógłby się upomnieć np. o los bezwzględnie eksploatowanego pracownika, czym mógłby obecny stosunek sił w społeczeństwie liberalnym naruszyć. Liberalizm świętego spokoju ma więc na celu uśpienie, stygmatyzowanie i wystraszenie tych warstw społecznych, które mogłyby upomnieć się o swój kawałek tortu, w sposób naruszający interesy warstwy dominującej.

Trzaskowski, czyli liberalizm ducha czasu

Naprzeciwko lękającej się kulturowych zmian wrażliwości katolickiej stoi przekonanie, że świat nieustannie zmierza ku lepszemu, a dzisiejsze światło postępu (przekręcając znaną sentencję) przychodzi z postchrześcijańskiego Zachodu. Epatujący kosmopolityzmem, znajomością języków obcych i chętnie chłonący obyczajowe nowinkarstwo Rafał Trzaskowski jest perfekcyjnym ucieleśnieniem zachodnich aspiracji dużej części społeczeństwa. Dla wielu jest on jak haust świeżego zachodniego powietrza w dusznej od zabobonów i uprzedzeń Polsce: otwarty, uśmiechnięty i rozluźniony... jakże odmienny od wiecznie znerwicowanych, marudnych i stereotypowo myślących prowincjuszy! Trudno im wyobrazić sobie lepszego kandydata do przyniesienia tego upragnionego zachodniego światła i wprowadzenia nas w prawdziwy XXI wiek!

Postać Trzaskowskiego z jednej strony reprezentuje Polaków znajdujących się w dobrej sytuacji bytowej (zdecydowanie łatwiej się rozluźnić i uśmiechnąć, gdy prozaiczne materialne troski nie spędzają nam snu z powiek), a z drugiej – osób, które chciałyby uchodzić za „lepsze" od środowiska, w którym na co dzień przebywają, a nie mających sposobności, aby się ponad nie wybić. Dla tych drugich – samo wyznawanie postępowego pakietu światopoglądowego jest świadectwem duchowej przynależności do „lepszego świata" i dowodem wzniesienia się na poziom świadomości przewyższający „prowincjonalnego kołtuna", zaś głosowanie na Trzaskowskiego stanowi tej wyższości empiryczne potwierdzenie. Sam Trzaskowski nie musi przy tym nic robić – wszelkie zaniedbania i błędne decyzje polityczne zostaną mu wybaczone, dopóki kandyduje, a popieranie go stanowi akt przynależności do postępowej części świata.

Prezentowany przez niego liberalizm ducha czasu stanowi jednak swego rodzaju „klasowy podstęp". Duża część wyborców, pragnąc poprawić swoje samopoczucie bezkosztowym udowodnieniem sobie, że zajmuje wyższą pozycję społeczną aniżeli ta, w której znajduje się naprawdę, będzie nawet głosować przeciwko twardym interesom własnej warstwy społecznej. W zamian za postępowe błyskotki odda więc władzę w ręce opcji politycznej sprzyjającej silniejszym i bardziej wpływowym, którzy nie zamierzają swoimi zasobami się dzielić, a raczej wykorzystywać je do cementowania i powiększania już obecnych różnic oraz możliwości eksploatacji tych bardziej zależnych. Kult „ducha czasu" jest więc sprytnym wcieleniem liberalizmu, sprawiającym, że słabsi zagłosują w systemie demokratycznym na reprezentantów mniej licznej grupy silniejszych, a w zamian zostaną poklepani po plecach i otrzymają symboliczny certyfikat nowoczesności.

SAMO WYZNAWANIE POSTĘPOWEGO PAKIETU ŚWIATOPOGLĄDOWEGO JEST ŚWIADECTWEM DUCHOWEJ PRZYNALEŻNOŚCI DO „LEPSZEGO ŚWIATA" I DOWODEM WZNIESIENIA SIĘ NA POZIOM ŚWIADOMOŚCI PRZEWYŻSZAJĄCY „PROWINCJONALNEGO KOŁTUNA".

eprasa.pl 89271c7d1f

Sikorski, czyli liberalizm lękowy

Gwałtowny awans społeczny sprzyja kształtowaniu się zaburzeń narcystycznych – taki wniosek można wyciągnąć, studiując historię życia wielu osób publicznych, a niedoścignionym potwierdzeniem tej zasady pozostaje wciąż Lech Wałęsa. Choć „chłopak z Bydgoszczy" Radosław Sikorski nie stał się jeszcze symbolem światowego pokoju i walki z komunizmem, i dotarł „tylko" do stanowiska ministerialnego, to rozkwit jego miłości własnej wskazuje, że jest na jak najlepszej drodze do założenia na starość pomarańczowych okularów w stylu rockowego wokalisty Bono. Zaskakujące jest przy tym, że tak pewny siebie i swojej wartości polityk, tak jest niepewny roli i ważności własnego kraju na arenie międzynarodowej.

Stwierdzenie, że Polska w celu obrony własnego bezpieczeństwa musi zawierać strategiczne sojusze i w niektórych przypadkach godzić się na niezbyt przyjemne kompromisy, to oczywisty banał. Radosław Sikorski pompuje ten pogląd do karykaturalnych rozmiarów i uważa, że powinniśmy trzymać się nogawki Zachodu kurczowo do tego stopnia, by wykazywać prymusostwo we wdrażaniu idei współczesnego ładu liberalnego, który jest (rzekomo) istotnym elementem zachodniej architektury bezpieczeństwa. Mamy więc do czynienia z lękowym (Sikorski powiedziałby „pragmatycznym") przyjmowaniem liberalizmu, byle tylko nie zniechęcić do siebie partnerów, którzy będą bronić nas w razie rosyjskiej napaści. Sytuacja ta pokazuje, że nawet słuszny pogląd można posunąć do absurdu, ponieważ trudno wyobrazić sobie sytuację, w której zostajemy np. wyrzuceni z Sojuszu Północnoatlantyckiego tylko dlatego, że zamierzamy zachować oryginalność polskiej kultury i elementarne cechy naszego stylu życia. Ponadto Sikorski często brzmi, jakby naprawdę uwierzył w propagandę zagorzałych unijnych centralistów straszących fałszywą alternatywą: albo pogłębiona integracja i daleko idące ujednolicenie państw członkowskich, albo inwazja Rosji.

Czy liberalizm lękowy Sikorskiego jest wynikiem jego przemyślanej analizy sytuacji czy zwykłego koniunkturalizmu – tego się nie dowiemy. Możemy jednak podziwiać akrobacje intelektualne, które stosuje, by pożenić „pragmatyczny" liberalizm z wyznawaną niegdyś przez siebie ideą konserwatywną, i chronić swoje ego przed przyznaniem, że już dawno swoje ideały porzucił, bo przeszkadzały mu w karierze. Nie stanowi dla niego problemu np. stwierdzenie, że postulat legalizacji aborcji nie ma w sobie nic sprzecznego z konserwatyzmem, bo nie przynależy do dziedziny idei, a „szacunku i bezpieczeństwa". Cóż – podobnie jak w przypadku Pawła Kowala, z którego konserwatyzmu pozostał już tylko niedzielny rosół, z wartości patriotycznych Sikorskiego pozostało pielęgnowanie szlacheckiego dworku.

Wynotowane oblicza współczesnego liberalizmu oczywiście nie wyczerpują ich pełnej listy. Pokazują jednak, jak zmiennokształtna i przebiegła w realizowaniu swoich polityczno-ekonomicznych celów jest to idea i że przejrzenie jej mimikry stanowi pierwszy krok do wybudzenia się z ideologicznej hipnozy, sprawiającej, że fałszywie rozumiemy interesy własnej grupy społecznej.

KULT „DUCHA CZASU" JEST SPRYTNYM WCIELENIEM LIBERALIZMU, SPRAWIAJĄCYM, ŻE SŁABSI ZAGŁOSUJĄ W SYSTEMIE DEMOKRATYCZNYM NA REPREZENTANTÓW MNIEJ LICZNEJ GRUPY SILNIEJSZYCH, A W ZAMIAN ZOSTANĄ POKLEPANI PO PLECACH I OTRZYMAJĄ SYMBOLICZNY CERTYFIKAT NOWOCZESNOŚCI.

GWAŁTOWNY AWANS SPOŁECZNY SPRZYJA KSZTAŁTOWANIU SIĘ ZABURZEŃ NARCYSTYCZNYCH.

eprasa.pl 89271c7d1f

Zbrodnia bez kary

Umorzenie postępowania w sprawie morderstwa dokonanego na Jolancie Brzeskiej, 64-letniej działaczce społecznej zaangażowanej w obronę eksmitowanych lokatorów stołecznych kamienic, wstrząsnęło nie tylko środowiskiem społeczników. Czy śledztwo prowadzone przez kolejne prokuratury – najpierw Rejonową, później Okręgową w Warszawie, w końcu Prokuraturę Regionalną w Gdańsku – nie miało szans rozstrzygnięcia? **Kto chciał**, żeby sprawa pozostała niewyjaśniona? Kto wie, co tak naprawdę się stało i dlaczego może spać spokojnie?

Paweł Pietkun

Zdaniem działaczy Komitetu Obrony Praw Lokatorów już od początku było widać, że ani policja, ani urzędnicy nie byli zainteresowani zebraniem wystarczającej ilości dowodów, które z czasem po prostu zostały zniszczone.

Kup pan kamienicę...

Śmierć Jolanty Brzeskiej pozwoliła na ujawnienie największej w powojennej historii Polski afery dotyczącej warszawskich nieruchomości. Afery, która obnażyła wciąż niejasne związki najważniejszych polityków w państwie z grupą przestępczą przejmującą warszawskie nieruchomości. Jak mocne były to powiązania? W 2018 roku rodzina Hanny Gronkiewicz-Waltz, byłej prezydent Warszawy i wiceprzewodniczącej Platformy Obywatelskiej, zobowiązała się do zwrotu kilku milionów złotych łącznie za sprzedanie kamienicy przy ul. Noakowskiego 16 w Warszawie, którą mąż wiceszefowej PO „odzyskał" – co ogłosiła Komisja Weryfikacyjna ds. reprywatyzacji warszawskich nieruchomości w 2018 roku – niezgodnie z prawem. Dokumenty, na które powoływała się Komisja, miały być dowodem na to, że rodzina Waltzów nigdy nie nabyła praw do nieruchomości. Wśród nich było m.in. zeznanie Romana Kępskiego, wujka Andrzeja Waltza, który nabył prawa do kamienicy od szmalcownika.

Jednak Waltzowie mieli tylko jedną kamienicę – w całej aferze chodziło o kilkadziesiąt podobnych postępowań. Postępowań, w których warszawski ratusz w oparciu o wątpliwe dokumenty rzekomych spadkobierców nieruchomości oddawał kamienice za bezcen, co stało się dość szybko prawdziwym przemysłem. O szansach na warszawską nieruchomość głośno stało się nie tylko nad Wisłą, ale także w innych europejskich stolicach.

Informacje o tym, jaka była skala tych prywatyzacji, o sposobach przejmowania budynków i pieniądzach, jakie za tym stały, znajdowały się – i być może wciąż się znajdują – w stołecznym urzędzie miasta, gdzie Hannę Gronkiewicz-Waltz zastąpił jej młody uczeń, Rafał Trzaskowski. Trzaskowski, dzisiaj aspirujący do najważniejszej funkcji w państwie, był ulubieńcem Gronkiewicz-Waltz i Donalda Tuska niemal od początku swojej politycznej kariery. To sztab wyborczy kierowany przez niego wprowadził wiceszefową Platformy Obywatelskiej na warszawskie salony i na najważniejszy urząd w stolicy. Szybko został również zastępcą Donalda Tuska w największej wówczas nadwiślańskiej partii politycznej, stając się powiernikiem starszych kolegów z politycznego ogródka. I gwarantem, że tajemnice, które skrywały stołeczne dokumenty, pozostaną tajemnicami bez względu na zmieniające się w Polsce rządy. Chyba że pojawi się urzędnik – w ratuszu lub

SZCZEGÓŁY LICZNYCH BATALII, KTÓRE BRZESKA PROWADZIŁA Z MAFIĄ REPRYWATYZACYJNĄ SĄ (LUB BYŁY) ZAPISANE W DOKUMENTACH W WARSZAWSKIM RATUSZU.

eprasa.pl 89271c7d1f

Prokuraturze Krajowej – który ujawni dokumenty i nazwiska osób zaangażowanych w przestępczy proceder.

Na straży dokumentów

O krok od poznania tych tajemnic mogła być Jolanta Brzeska, działaczka społeczna, która broniła lokatorów eksmitowanych z przejętych (niezgodnie z prawem, co wykazały późniejsze postępowania) warszawskich kamienic. Niepozorna kobieta nie tylko broniła wyrzucanych z domów, ale szukała również prawdziwych powodów, dla których przejęcia warszawskich nieruchomości stały się tak masowe. Szczegóły licznych batalii, które Brzeska prowadziła z mafią reprywatyzacyjną, są (lub były – jeżeli zostały zniszczone) zapisane w dokumentach w warszawskim ratuszu. Najpierw pilnowała ich Hanna Gronkiewicz-Waltz, która przyjęła urząd po trudnej kampanii wyborczej prowadzonej przez swojego ulubieńca Rafała Trzaskowskiego. Dzisiaj to właśnie on sprawuje pieczę nad stołecznym ratuszem i to między innymi on odpowiada za to, że śledztwo w sprawie zbrodni, które mogłoby położyć się cieniem na niejednej władzy, nie ruszyło z miejsca przez ostatnie kilkanaście lat.

Kiedy Prokuratura Regionalna w Gdańsku umorzyła śledztwo w sprawie śmierci Jolanty Brzeskiej, do mediów po raz kolejny wyciekła opinia biegłych w sprawie działaczki społecznej. Wynika z niej, że patolodzy nie ujawnili obrażeń mechanicznych (poza oparzeniami) mogących mieć wpływ na zgon pokrzywdzonej. Wykryli za to obecność nafty w odzieży i sadzy w dolnych drogach oddechowych pokrzywdzonej. Konkluzja? Przyczyną zgonu musiał być wstrząs termiczny i podtrucie tlenkiem węgla. To wszystko doprowadziło prokuratorów Adama Bodnara do prostego rozwiązania – dalej śledztwa prowadzić się nie da. W lakonicznym komunikacie wygłoszonym dla mediów rzecznik gdańskiej prokuratury wyjaśnił, że „wszystkie zaplanowane czynności procesowe zostały wykonane” oraz że „zgromadzony materiał nie potwierdził ani nie wykluczył żadnej z głównych przyjętych wersji tego zdarzenia”. Czyli po grubo ponad dekadzie prac śledczych jako jedna z hipotez śmieci wraca samobójstwo. Zakłada ona dyskretne samospalenie (to rodzaj samobójstwa, który popełnia się w świetle reflektorów i przy ludziach, jest manifestacją – o czym świetnie wiedzą psycholodzy, również współpracujący z prokuratorami) oraz to, że Jolanta Brzeska po spaleniu się zdążyła jeszcze ukryć pojemnik po łatwopalnej cieczy, pewnie benzynie.

Squat przy ul. Wilczej 30 w Warszawie. Tu tydzień po zabójstwie Jolanty Brzeskiej powstała Autonomiczna Przestrzeń Inicjatyw Syrena

Fot. T. Gutry

Śledztwo skazane na niepowodzenie

– Umorzenie jest konsekwencją zaniedbań, które towarzyszyły śledztwu od samego początku – mówi Zenobia Żaczek, działaczka lokatorska i związkowa, członkini Komitetu Obrony Praw Lokatorów. – Policja nie zabezpieczyła monitoringu ulicznego, monitoringu z komunikacji publicznej, śladów opon w miejscu zbrodni. Śledczy opierali się wyłącznie na zdjęciach dostarczonych im przez osoby trzecie. Nie zajęto się również osobami, które wcześniej włamywały się do mieszkania Joli Brzeskiej i próbowały ją z tego mieszkania usunąć. Konsekwencję tych zaniedbań mamy w postaci efektów śledztwa, które po prostu nie mogło zakończyć się sukcesem. Moim zdaniem zaniedbania były celowe.

Żaczek przyznaje, że koledzy i przyjaciele Brzeskiej mogli wyłącznie dokumentować i nagłaśniać całą sprawę, nie dać jej przyschnąć. Bo wątpliwości, że to było morderstwo, nie ma ani ona, ani nikt w stowarzyszeniu. Co więcej, podobny los mógł spotkać każdą osobę, która wówczas zajmowała się obroną praw lokatorów.

– Niektórzy uważają, że Jola miała pewną wiedzę, która później być może wypłynęła w czasie prac Komisji Weryfikacyjnej – dodaje, przyznając, że nawet tyle lat po ujawnieniu afery działaczom na rzecz lokatorów zdarza się wciąż spotykać z groźbami.

– Czy pod Pani adresem też kierowano takie groźby? – pytam.

– Tak – słyszę w odpowiedzi. – Groźby utraty życia, zdrowia, próby dezinformacji. To również próby dzwonienia z mojego numeru telefonu do innych osób. Wiem nawet, jakie firmy za tym stoją. Zgłaszałam to wszystko policji i prokuraturze, jednak nie spotkała ich za to żadna kara, nikt – jak sądzę – tego nie wyjaśnia.

Bezpieczni za immunitetem

Podobnie jak Jolanta Brzeska, jej przyjaciele i znajomi ze stowarzyszenia starają się zbierać świadectwa, nagłaśniać sprawy nielegalnych eksmisji, doprowadzić do tego, żeby organy ścigania traktowały wszystkie doniesienia jako jedną sprawę, jedno przestępstwo. – To jest tak samo trudne, jak w czasie, kiedy zajmowała się tym Jola – słyszę dalej. Dowiaduję się także, o jakiej skali gróźb i eksmisji jest mowa.

– Mamy dostęp tylko do wycinka informacji, ale z całej Polski dociera do nas przynajmniej kilka skarg i próśb o pomoc tygodniowo – opowiada Zenobia Żaczek. – Ja znam setki tych spraw i po takim czasie nie mam wątpliwości, że to się nie może odbywać bez milczącego wsparcia policji i urzędów.

W dochodzeniach oraz postępowaniach sądowych, kiedy brakuje dowodów, śledczy i prawnicy sięgają do worka z poszlakami. Znaczenie mają wówczas okoliczności, które towarzyszą zbrodni. Okoliczności, które mogą pokazać, kto mógł być zainteresowany ostatecznym pozbyciem się ofiary lub jak zachowali się powiązani ze sprawą świadkowie, kiedy wydarzyło się morderstwo i później.

Tuż przed umorzeniem śledztwa w sprawie śmierci Jolanty Brzeskiej Donald Tusk odwołuje z Brukseli europarlamentarzystę Marcina Kierwińskiego, byłego szefa MSWiA. Kierwiński ponownie zostaje ministrem (tym razem bez teki) – ma się zajmować uporządkowaniem kwestii związanych z powodzią, która pod koniec września spustoszyła południowe regiony Polski. Mandat w Parlamencie Europejskim przejmuje po nim Hanna Gronkiewicz-Waltz, która natychmiast wyjeżdża do Brukseli. Była prezydent Warszawy ma już immunitet, którego – w przypadku posła PO przy obecnym rozdaniu politycznym – w parlamencie w Strasburgu nikt jej nie odbierze.

Rafał Trzaskowski, prezydent Warszawy, chce zdobyć najwyższy urząd w państwie. Na wypadek, gdyby Polacy woleli głosować na kogoś innego, przyboczni Donalda Tuska przygotowali plan B, czyli kandydaturę Radosława Sikorskiego. Zapowiadane przez KO prawybory pomiędzy dwoma kandydatami mają niewielkie znaczenie, bo jeżeli będzie trzeba, partia zmieni kandydata, nawet w trakcie kampanii wyborczej. To opcja, którą już raz sprawdzono.

Prokuratorzy zadbali o to, żeby temat morderstwa i reprywatyzacji kamienic nie wrócił przez czas kampanii do dyskusji publicznej – śledztwo jest umorzone z gwarancją, że nic się w tej sprawie więcej nie wydarzy. Rafał Trzaskowski jako kandydat będzie musiał wytrzymać ewentualne pytania o reprywatyzację i Jolantę Brzeską. Zresztą jeżeli w ogóle padną, to nie będzie ich wiele – wszak zbrodni dokonano nie za jego kadencji. A kwestia śledztwa była w rękach prokuratorów, którzy przecież podjęli już decyzję.

PO GRUBO PONAD DEKADZIE PRAC ŚLEDCZYCH JAKO JEDNA Z HIPOTEZ ŚMIECI WRACA SAMOBÓJSTWO. ZAKŁADA ONA DYSKRETNE SAMOSPALENIE.

eprasa.pl 89271c7d1f

KARUZELA Z BLOGERAMI

KONESER UNII EUROPEJSKIEJ

REDZIKOWO: SYMBOL BEZPIECZEŃSTWA, ALE I CIĄGLE ŻYWA PAMIĘĆ O HISTORII

Baza w Redzikowie, choć stała się jednym z symboli współczesnej Polski, to nie tylko nowoczesny element obrony przeciwrakietowej NATO. Jej powstanie, a zwłaszcza jej oficjalne otwarcie, to moment, który wywołuje refleksje nie tylko o teraźniejszości, ale także o przeszłości naszego kraju.

Zanim zagłębimy się we współczesność, warto na chwilę cofnąć się do czasów, kiedy Polska była pod dominacją ZSRR, a jej bezpieczeństwo zależało od obcych mocarstw. W czasach PRL byliśmy tylko kawałkiem układanki zimnowojennego świata, wykorzystywanym przez ZSRR jako strategiczna strefa buforowa. Z jednej strony istniała obietnica „braterstwa" z państwami socjalistycznymi, ale z drugiej, na każdego Polaka patrzył sowiecki but. Polska była pod pełną kontrolą Moskwy, a jej niezależność – marzeniem, które musiało poczekać na swój czas. Dopiero w 1989 roku, po latach represji i walki o wolność, Polacy odzyskali suwerenność. Rok 1989 to przełomowy moment – otwarcie się na świat Zachodu, początek walki o demokratyczne instytucje, o system, który nie wymagałby „bratniej pomocy" w postaci czołgów na ulicach Warszawy. To także czas, w którym Polska zaczęła stopniowo zbliżać się do NATO, co wkrótce stało się fundamentem naszej obronności. Baza w Redzikowie to efekt tych zmian – oznaka, że Polska stała się nie tylko członkiem NATO, ale i pełnoprawnym uczestnikiem systemu, który zapewnia jej bezpieczeństwo w obliczu zagrożeń z zewnątrz.

I oto, zaledwie kilka dni temu, w atmosferze napięcia, Polska oficjalnie otworzyła swoją bazę przeciwrakietową w Redzikowie. Chociaż może to brzmieć jak zwykła formalność, to jednak w tym akcie kryje się cała masa znaczeń. Prezydent Andrzej Duda w swoim przemówieniu powiedział o tej bazie jako o symbolu współpracy polsko-amerykańskiej, o wzmacnianiu naszego bezpieczeństwa, o niezłomności Polski w obliczu zagrożenia ze strony wschodniego sąsiada. Jednak za tymi słowami kryje się również głęboka refleksja: jak blisko wciąż jesteśmy od historii, która nie tak dawno jeszcze wiązała Polskę z imperium, które dzisiaj nie cofa się przed niczym, by przywrócić swoją dominację.

Przemówienie Andrzeja Dudy miało charakter triumfalny, było pełne nadziei i dumy. Mówiło o przyszłości, o bezpieczeństwie Polski w strukturach NATO, o współpracy z Ameryką. Jednak poza tymi oficjalnymi słowami nie sposób nie dostrzec cienia niepokoju. Wystarczy spojrzeć na bieżące wydarzenia na świecie – agresywną politykę Rosji, jej interwencje, permanentne zagrożenie dla stabilności w Europie Środkowo-Wschodniej. Nawet jeśli Polska z każdym rokiem staje się coraz silniejszym elementem globalnej układanki, nie możemy zapominać, że historia Rosji, a szczególnie jej podejście do krajów ościennych, nie wymazała się z kart historii. Pamięć o dominacji, brutalności i agresji wciąż jest żywa, a w jej cieniu.

Z tego miejsca nie sposób pominąć także faktu, że budowa bazy wymaga od nas utrzymania gotowości do obrony. To nie tylko instalacja technologiczna, ale element globalnej walki o dominację w przestrzeni powietrznej i kosmicznej. Każdy system przeciwrakietowy jest jak tarcza, ale także jak miecz – na razie ukryty, gotowy do użycia w przypadku niebezpieczeństwa. Czy to oznacza, że po otwarciu bazy w Redzikowie Polska jest bezpieczna? Z pewnością jej obrona przed zagrożeniami rakietowymi jest dziś wzmocniona, ale bezpieczeństwo to nie tylko technologia. To także stabilność polityczna, silne sojusze i nieustanna gotowość do reagowania na zmiany geostrategiczne.

eprasa.pl 89271c7d1f

Inna polityka *nie* jest możliwa. Krótki kurs historii Razem

„Inna polityka jest możliwa” – przekonywali od początku swojej działalności członkowie Razem (początkowo Partii Razem). **Czy sami w to jeszcze wierzą?** Niedawny rozłam w partii, jej trwająca kolejne miesiące wojna z własną posłanką, żyrowanie liberalnych pomysłów rządu przez osoby współtworzące jeszcze miesiąc temu antyliberalne ugrupowanie powinny przekonać członków Razem, że żadnej innej polityki nie ma, a oni sami stali się częścią jej jedynej istniejącej wersji. Co więcej, nie teraz, a już w 2019 roku, gdy aby wejść do Sejmu, połączyli siły z postkomunistycznym SLD i liberalną Wiosną. Z ludźmi, przeciwko którym tworzyli własne ugrupowanie.

Krzysztof Karnkowski

Paulina Matysiak

Fot. Adam Chełstowski / Forum

19 listopada rząd zapowiedział obniżenie składki zdrowotnej dla przedsiębiorców. Zmiana ta w najbliższej dekadzie będzie kosztować budżet państwa 60 miliardów złotych. O fatalnej sytuacji służby zdrowia, braku pieniędzy na leczenie pacjentów i zamykaniu szpitali słychać od wielu miesięcy. Rządzący oczywiście obwiniają za ten stan poprzedników. Niezależnie od tego, czy winy szukać w tej czy innej ekipie, zastanawia, że właśnie teraz Platforma Obywatelska lekką ręką pozbywa się tak wielkiej kwoty. Równocześnie nie zgadza się na spełnienie postulatu Lewicy dotyczącego wolnych Wigilii, których koszt dla budżetu przez 10 lat wyniósłby 23 miliardy.

Sprawczość

Niecały miesiąc wcześniej Razem opuściła duża grupa działaczy, w tym kilka warszawskich radnych, dwie senatorki i trzy posłanki. Z sześcioosobowego zarządu w partii zostały trzy osoby. Ruch ten był dopełnieniem podziału na frakcje skupione wokół Magdaleny Biejat i Adriana Zandberga. Grupa Zandberga coraz krytyczniej patrzyła na rząd i zastanawiała się nad opuszczeniem klubu Lewicy. Przez obecność w nim Razem znajdowała się w dwuznacznej roli, współtworząc klub współtworzący rząd, równocześnie samego gabinetu Donalda Tuska nie współtworząc. Trudno się w tym połapać, ale uprzedzam – gdy w dalszej części tekstu przejdziemy do losów Pauliny Matysiak, będzie równie ciężko cokolwiek zrozumieć. Druga grupa miała odwrotny plan – poprzez odejście z Razem i mocniejszą integrację z częścią lewicy, znajdując się u władzy, chciała zdobyć możliwość realizacji własnych postulatów. Choć trochę przechylić rząd w lewo. „Uważamy, że trzeba robić wszystko, żeby zmieniać otaczającą nas rzeczywistość tu i teraz. Nie za rok, nie za dwa, nie w kolejnej kadencji – dziś. Wierzymy, że naszym zadaniem jest załatwiać konkretne sprawy. Że jako polityczki i politycy mamy obowiązek nie ograniczać się do krytyki, ale po prostu działać” – pisały parlamentarzystki opuszczające Razem. Chyba największą stratą dla ugrupowania było odejście Magdaleny Biejat,

eprasa.pl 89271c7d1f

niedawnej kandydatki na prezydent Warszawy, branej również pod uwagę jako potencjalna reprezentantka całej Lewicy w wyborach prezydenckich. Biejat w Warszawie zrobiła zaskakujący dla wielu niezły wynik. Być może jednak to właśnie w jej ówczesnej kampanii można znaleźć zapowiedź tego, co stało się w październiku. Bo choć kandydatka Razem zyskiwała głosy wyborców prosocjalnych, rozczarowanych mocno liberalnym przekazem Tobiasza Bocheńskiego z PiS, w ostatniej odsłonie kampanii jej materiały wyborcze odwoływały się do niezbyt trafnego w kontekście warszawskiego samorządu ostatecznego zwycięstwa nad Prawem i Sprawiedliwością.

...czy niemoc?

Po przyjęciu przez rząd przywołanej wyżej zmiany w składce zdrowotnej, a więc postulatu mocno liberalnego, a zarazem oprotestowanego przez lewicę, sprawdziłem konta całej piątki na portalu X. Żadna z nich nie zajęła się w ogóle tym tematem. Z drugiej strony trzeba jednak przyznać, że w ostatnich dniach pisały w bardzo krytycznym tonie o innych działaniach rządu i swoich kolegów z koalicji – wsparły protesty pielęgniarek i mocno komentowały przegraną w sprawie Wigilii. Gdzie więc wymarzona sprawczość? Bardzo brutalnie sprawę stawia Xavier Woliński, autor bloga wolnelewo.pl. „Lewica partyjna jest obecnie antytezą sprawczości. To znaczy może np. chwalić się przesunięciem środków z budownictwa społecznego na akademiki, albo na odwrót, bo taką tylko mają możliwość manewru – przelewanie z pustego w próżne, i próbować to sprzedać resztkom swojego kurczącego się elektoratu, jako przejaw «sprawczości»" – pisze Woliński. I stwierdza: „[...] większość osób w tym kraju to widzi. Lewica jest po prostu wasalem PO i jak wasal jest traktowana. Razem fikało, więc Wódz Tusk wydał rozkaz, żeby NL ją rozmontowała".

Hala odlotów

Pęknięcie w partii miało podobno zaskoczyć osoby związane z Zandbergiem. Zdziwieni mieli być oni nie tylko samym faktem odejścia grupy aktywistów (głównie jednak – aktywistek), lecz także jego skalą. Być może jednak trudno było im zauważyć, co dzieje się w ich partii, skoro od wielu miesięcy jej kierownictwo zajęte było – jak się zdaje – przede wszystkim walką z jedną osobą. Bynajmniej nie z Donaldem Tuskiem, mocno przez nie krytykowanym, czy nawet z największymi liberałami z koalicji rządzącej, ani nie z kimś z pozostającej na największych politycznych antypodach Konfederacji, a z własną, medialna i popularną posłanką, Pauliną Matysiak. Matysiak, w partii obecna od 2017 roku, w 2019 roku została członkinią Zarządu Krajowego, a w 2019 i 2023 posłanką. Za każdym razem z porównywalną liczbą głosów – w 2019 roku poparło ją 16 757 osób, cztery lata później o niecały tysiąc więcej. Często obecna w mediach, sympatyczna i dość stonowana, zdobyła sporą rozpoznawalność, a jej zaangażowanie w kwestię poprawy jakości transportu publicznego wpłynęło na jej dobry odbiór również w prospołecznym elektoracie Prawa i Sprawiedliwości. Proces ten nabrał rozpędu, gdy w nowej kadencji Sejmu stała się jednym z największych obrońców budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego i ponad partyjnymi podziałami rozpoczęła w tej sprawie współpracę z byłym pełnomocnikiem rządu odpowiedzialnym za budowę CPK i posłem PiS, Marcinem Horałą.

> W 2019 roku Razem weszło w koalicję z ludźmi, przeciwko którym tworzyło **własne ugrupowanie**.

Nielojalności

Choć w tej dziedzinie program i wcześniejsze działania PiS i samego Horały nie były sprzeczne z programem Razem, współpracy tej koledzy (i koleżanki, co zważywszy na wcześniej przywołane przymioty Matysiak, może być ważne) jej nie wybaczyli. Po ogłoszeniu przez oboje posłów powołania stowarzyszenia „Tak dla Rozwoju", w czerwcu tego roku została zawieszona w prawach członka Razem, a także prawach członka klubu Lewica. Zawieszenia te były następnie przedłużane, trwa też sprawa przed sądem koleżeńskim. W październiku, za drugim razem (w pierwszym podejściu uratowała ją postawa posłów PiS i Konfederacji), została usunięta z bardzo dla niej ważnej sejmowej Komisji Infrastruktury, co należy uznać za wyjątkowo niskiej natury szykanę. Po rozłamie w partii Razem sytuacja stała się jeszcze bardziej kuriozalna: Matysiak jest pełnoprawnym członkiem koła partii, lecz w prawach członka samej partii pozostaje zawieszona. A to realnie szkodzi jej politycznym planom. Nie tylko nie ma wciąż dostępu do wewnątrzpartyjnych kanałów komunikacji, ale też uniemożliwiono jej planowany przez nią start na współprzewodniczącą ugrupowania (Razem statutowo kierują dwie osoby, jeszcze niedawno Adrianowi Zandbergowi partnerowała w tym Magdalena Biejat). W kolejnych wywiadach, np. w Radiu Wnet czy RMF, Matysiak powtarza, że koleżanki, które zarzucały jej nielojalność, same okazały się nielojalne i odeszły z partii. Ona sama nie ma jeszcze takich planów, choć dziennikarze lubią ją podpuszczać i zapisywać do PiS. Matysiak jednak nie deklaruje zmiany ugrupowania, poza sferą

eprasa.pl 89271c7d1f

społeczną pozostaje przecież ta obyczajowa, która lata temu pchnęła ją choćby do uczestnictwa w czarnych marszach. I choć dziś mniej wypowiada się na ten temat, na drogę powtórzenia historii Moniki Pawłowskiej (posłanki Lewicy poprzedniej kadencji, która przez Porozumienie Jarosława Gowina przeszła finalnie do PiS) najwyraźniej nie jest jeszcze gotowa. Potrafi jednak PiS chwalić za politykę społeczną i mówić Radiu Wnet, że w przyszłości, w przypadku zagwarantowania środków na realizację programu Razem (czego PO nie uczyniła w 2023 roku) wyobraża sobie bardzo różne warianty koalicyjne. W krytyce kolegów pozostaje oszczędna, obawia się jednak rozpuszczenia Lewicy w liberalnym mainstreamie, a obecny układ władzy określa jako „koalicję rozczarowań". Kilka tygodni temu pojawiła się koncepcja startu posłanki jako lewicowej kandydatki w wyborach prezydenckich, głównie jako formy promocji i zdyskontowania momentu jej medialnej sławy. W rozmowie z RMF trzy tygodnie temu nie wykluczała takiej możliwości, temat jednak jakby od tamtej pory ucichł. Pozostaje pytanie o partyjne zaplecze, skoro Razem chce mieć ją u siebie, by utrzymać koło, ale już nie jako mającą ciekawy (wyjście z ofertą dla polskie prowincji) pomysł na przyszłość partii przewodniczącą.

Zaskakujący spadkobiercy „S"

– Dla polityków, których od dwudziestu lat oglądamy w Sejmie, to, że inna Polska jest możliwa, to, że moglibyśmy żyć w kraju, który jest realnie demokratyczny, który zapewnia realnie sprawiedliwe warunki życia, w którym prawo stoi po stronie pracowników, a nie po stronie korporacji, dla nich to jest coś niemożliwego. [...] Ale to nie jest tak, że to marzenie pojawiło się dzisiaj, że ono pojawiło się wczoraj, że ono pojawiło się wtedy, kiedy narodziło się Razem. To jest to samo marzenie, o które w sierpniu 1980 roku upominali się strajkujący stoczniowcy – mówił, wywołując entuzjazm sali, Adrian Zandberg podczas konwencji 10 października 2015 roku. Cały filmik z tego wystąpienia oficjalny kanał partii zatytułował „Duch Solidarności". Razem miało wówczas swój specyficzny urok, przyciągający do nich zarówno młodzież, jak i starszych, którzy wcześniej wzdragali się przed uczestnictwem w działaniach partyjnych czy nawet po prostu chodzeniem na wybory. Polityczni debiutanci początkowo zdobywali uwagę głównie przez Facebooka, gdzie pojawiały się ich memy i ostre komentarze na temat sytuacji społecznej ówczesnej Polski. Było w nich wówczas coś świeżego, co kazało patrzeć na nich życzliwie nawet części prosocjalnych wyborców PiS, zwłaszcza że kwestie obyczajowe rzadziej pojawiały się wówczas na pierwszym planie. Bardzo duże znaczenie dla wyborczego wyniku w 2015 roku miała debata telewizja, podczas której Zandberg nie tylko dał się poznać dużej grupie wyborców, ale też poradził sobie nadspodziewanie dobrze. Co jednak ciekawe, przy okazji dał o sobie znać dość płytki sposób odbioru polityki przez dużą część Polaków. Kilka dni przed wyborami na YouTubie pojawiła się amatorska sonda, której autor pytał o preferencje przechodniów spotkanych na warszawskim pl. Zbawiciela. Bardzo wielu z nich odpowiadało, że wahają się między Razem... a Nowoczesną, choć partie te były wówczas swoim całkowitym zaprzeczeniem. Młodzi lewicowcy do Sejmu nie weszli, jednak wpłynęli na historię – odebrali część głosów starszym kolegom, koalicja Millera i Palikota nie weszła do Sejmu, a że głosów zabrakło też Januszowi Korwin-Mikkemu, PiS uzyskało samodzielną większość. A Razem – dotację i prawo do obecności w mediach, ponieważ przekroczyło próg 3%.

> Adrian Zandberg próbował zachodzić PiS z lewej strony i **przebić** partię Jarosława Kaczyńskiego w retoryce prospołecznej.

Inna polityka

Partia zaistniała w polityce, mediach i świadomości społecznej, zaczęła jednak tracić swój zapał, a więc i urok według obserwujących. Nie odniosła sukcesów w wyborach do samorządów i PE, zaczęły się też pierwsze spory o to, czy wchodzić w układy ze starymi lewicowcami, czy wciąż trzymać się od nich z dala. I choć Razem było partią młodą, odwołującą się do tradycji lewicowych nurtów opozycji antykomunistycznej, a nawet PPS (do dziś działacze Razem składają 1 listopada kwiaty na grobie Kazimierza Pużaka), dopadła ich klątwa lewej strony sceny politycznej III RP. Polska Unia Socjaldemokratyczna, Unia Pracy, PPS Ikonowicza, SdPL – wszystkie te siły polityczne powstające w kontrze wobec dominującego nurtu postkomunistycznego lub jego polityki, w pewnym momencie wchodziły z nim w koalicję. Razem nie było niestety wyjątkiem i w 2019 roku stworzyło wspomnianą już przeze mnie wspólną listę z SLD i Wiosną. Podczas ówczesnej kampanii Adrian Zandberg próbował zachodzić PiS z lewej strony i przebić partię Jarosława Kaczyńskiego w retoryce prospołecznej. Tyle że będąc w opozycji, nie miał jak programu tego realizować. Zupełnie tak samo, jak po 13 grudnia 2023 roku, gdy jego koledzy stworzyli wspólny rząd z liberałami.

eprasa.pl 89271c7d1f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Piekło dzieci

Teoretycznie wszyscy się zgadzają, że najmłodszych trzeba chronić. Problem pojawia się wówczas, gdy od słów trzeba przejść do czynów. Teraz jest jednak okazja, gdy można zrobić coś pożytecznego. Trwa bowiem zbiórka podpisów pod obywatelskim projektem ustawy mającym ograniczyć dostęp dzieci do pornografii.

Być może dla niektórych będzie to szokiem, ale według badań pierwszy kontakt z pornografią dzieci mają już w wieku 11 lat. Co więcej, 24,5 proc. nastolatów w wieku 12–14 lat co najmniej raz w tygodniu ogląda pornografię. Aż 73 proc. dzieci uważa, że w sieci łatwo znaleźć treści pornograficzne. Ile szkód może ona im wyrządzić, zapewne pisać nie muszę. Oglądanie pornografii wpływa negatywnie na rozwijający się mózg, zaś mechanizm uzależnienia jest bardzo podobny do uzależnienia od narkotyków. Ponadto pornografia upośledza zdolność tworzenia długotrwałych relacji, jak również zmniejsza poziom empatii. Dodatkowo może ona powodować depresję i stany lękowe, jak również wiele innych konsekwencji. 1 stycznia 2022 r. weszła w życie zaktualizowana Międzynarodowa Statystyczna Klasyfikacja Chorób i Problemów Zdrowotnych (ICD-11). Światowa Organizacja Zdrowia umieściła na niej nową jednostkę chorobową – kompulsywne zachowania seksualne.

Nie chodzi rzecz jasna o to, by pornografii zakazać w ogóle, bo każdy dorosły sam podejmuje decyzję z tym związaną, choć to moralnie wątpliwa rozrywka. Sęk w tym, że obowiązujące obecnie w Polsce przepisy dotyczące weryfikacji wieku są fikcją. Każdy, kto porusza się po sieci, wie o tym doskonale. Wystarczy zaznaczyć „tak, mam osiemnaście lat” i internet stoi niemalże otworem. Nic dziwnego, że coraz większa liczba państw dostrzega to współczesne zagrożenie. I postanawia z nim walczyć.

Na taki krok zdecydowało się ok. 20 amerykańskich stanów. W Wielkiej Brytanii ustawa w tej sprawie weszła w życie w ubiegłym roku. W ostatnich tygodniach na taki krok zdecydowała się Francja. Do wdrożenia podobnych przepisów przygotowują się Włochy. Jak widać, państwa w większości „postępowe”.

Projekt ustawy przygotowanej przez Instytut Ordo Iuris oraz Centrum Życia i Rodziny zakłada, że minister cyfryzacji zobowiąże serwisy pornograficzne do wprowadzenia skutecznej weryfikacji wieku użytkowników. W innym przypadku zostaną one ukarane blokadą oraz odcięciem dostępu do usług płatniczych.

Teraz najważniejsza jest mobilizacja społeczna. Żeby projekt trafił do Sejmu, potrzebne jest 100 tys. podpisów. Muszą one zostać złożone najpóźniej 23 grudnia. Do inicjatywy można dołączyć, pobierając kartę do podpisów ze strony stopnarkotykowipornografii.pl. Zachęcam!

eprasa.pl 89271c7d1f

Fundacja Ocalenie? Czy Fundacja Zarobek?

Imigranci to wielki, dochodowy biznes. Wiedzą o tym doskonale lewicowe organizacje, które na pomoc przybyszom zza granicy otrzymują dziesiątki, a nawet setki milionów złotych czy euro. Im więcej imigrantów, tym większe zyski. A wszystko pod przykrywką szczytnych celów.

Mariusz Staniszewski

Gdy media rozgrzewa dyskusja o pochodzeniu żony Radosława Sikorskiego czy poziomie znajomości angielskiego przez Bogdana Klicha, nikt nie zwraca uwagi, że za chwilę wejdzie w życie pakt migracyjny. A to właśnie on – a nie korzenie Anne Appelbaum czy nieuctwo Klicha – wpłynie na kształt naszego kraju na dziesięciolecia, a może całe wieki.

Oczywiście realizacja paktu wiąże się z kilkoma fundamentalnymi niebezpieczeństwami: zmianą struktury społecznej, obniżeniem poziomu bezpieczeństwa obywateli czy faktycznym brakiem kontroli nad napływem migrantów. Interesujący jest jednak jeszcze jeden wątek: stworzenie stałego mechanizmu napływu migrantów oraz konieczności ich integracji ze społeczeństwem. Dla lewicowych NGO-sów oznacza to w rzeczywistości niekończące się żniwa. Dzięki programowi rządu mają zapewnione stałe zasilanie publicznymi pieniędzmi. Im większy będzie problem, tym więcej kasy.

Rzeka pieniędzy

Posłużmy się przykładem organizacji, która okazała się jednym z wygranych konkursu na tworzenie Centrów Integracji Cudzoziemców. Takich placówek ma powstać w Polsce czterdzieści dziewięć, a budżet państwa przeznaczy na ten cel 432 miliony złotych. Średnio więc na tworzenie jednego ośrodka państwo przeznaczy blisko 9 milionów.

Przyjrzyjmy się zatem Fundacji Ocalenie, która ma się stać beneficjentem programu. To nie jest pierwszy grant, jaki podmiot ma uzyskać na finansowanie imigrantów. Od początku wojny hybrydowej organizacja otrzymała już ponad sześćdziesiąt milionów złotych na swoją działalność. Pieniądze pochodzą głównie z Funduszu Krajowego „Aktywni obywatele", który jest finansowany z tzw. Funduszy Norweskich (środki przekazywane krajom Unii Europejskiej przez Norwegię, Lichtenstein i Islandię za możliwość korzystania ze wspólnego rynku).

Ze sprawozdań zamieszczonych na stronie Fundacji wynika, że w 2021 r. organizacja otrzymała 10,87 mln zł dotacji, w 2022 r. 29,59 mln zł, a w ubiegłym 19,7 mln zł. W 2021 r. wydała 4,5 mln zł, zanotowała więc zysk 5,7 mln zł. W 2022 r. wydała 15,1 mln zł, zysk wyniósł 14,4 mln zł.

W ubiegłym roku jej wydatki wyniosły 23,13 mln zł, a więc organizacja zanotowała 3,39 mln zł straty. Nie oznacza to wcale, że znajduje się w złej kondycji, gdyż ciągle dysponuje sporymi pieniędzmi z zysku z lat 2021 i 2022 r. – łącznie ponad 20 mln zł.

Warto tu zaznaczyć, że przed 2021 r. przychody tego podmiotu nie przekraczały 3,5 mln zł.

W 2022 r. na wynagrodzenia organizacja wydała 6,7 mln zł, ale w 2023 r. koszty te wzrosły niemal dwukrotnie do 12,35 mln zł. Oznacza to, że w ubiegłym roku Fundacja Ocalenie, której celem jest pomaganie imigrantom, najwięcej pieniędzy przeznaczyła na koszty własnego personelu. Na podstawie różnych umów organizacja zatrudniała w zeszłym roku 332 osoby. Do tego dochodzi jeszcze armia wolontariuszy. Najwyższa wykazana pensja to ponad 25 tys. miesięcznie.

W ubiegłym roku Fundacja Ocalenie, której celem jest pomaganie imigrantom, **najwięcej pieniędzy** przeznaczyła na koszty własnego personelu.

Cele organizacji

Na swojej stronie organizacja podaje, że w trzech ośrodkach – w Warszawie, Łomży i Łodzi – organizuje kursy językowe, szkolenia zawodowe, ale także konsultacje mentorskie czy integracje w kręgu pieśni. Pomaga opłacać rachunki i wysyła dzieci na kolonie.

Fundacja Ocalenie zasłynęła jednak przede wszystkim zaangażowaniem na granicy polsko-białoruskiej, gdzie atakowała polskich żołnierzy i funkcjonariuszy Straży Granicznej oraz pomagała nielegalnym imigrantom przedostawać się do naszego kraju.

Utworzyła nawet specjalną sekcję, która zajmuje się tylko tym, co dzieje się na tej granicy, oraz opublikowała raport, w którym potępia zawracanie nasyłanych przez reżim Alaksandra Łukaszenki i Władimira Putina z powrotem na Białoruś.

W raporcie czytamy m.in., że „brak przygotowania władz lokalnych, w tym personelu medycznego, może narażać osoby w drodze na większe ryzyko utraty zdrowia lub śmierci". Fundacja Ocalenie zarzuca więc władzom samorządowym, że nie dostosowują swojego działania do potrzeb przestępców, którzy bezprawnie wdzierają się na terytorium Rzeczpospolitej.

W innym miejscu czytamy: „Dziesiątki tysięcy osób posiadających obywatelstwo państw trzecich przybyło i nadal przybywa – indywidualnie lub w grupach – do Białorusi, aby przekroczyć granicę z UE i ubiegać się o ochronę międzynarodową w jednym z jej państw członkowskich. Po obu stronach granicy osoby migranckie doświadczają pushbacków i przemocy ze strony władz państwowych oraz cierpią z powodu braku dostępu do jedzenia, lekarstw i schronienia".

Autorzy nie dostrzegają więc nielegalnego i przestępczego procederu, który jest skierowany przeciwko Polsce, Litwie i Łotwie. Wręcz przeciwnie – domagają się zaakceptowania łamania prawa i wpuszczania nielegalnych migrantów na terytorium Rzeczpospolitej.

Z ich punktu widzenia to oczywiście jest opłacalne, gdyż im więcej będzie przybyszów, tym bardziej wzrośnie zapotrzebowanie na opiekę nad nimi. Dlatego Fundacja Ocalenie udziela nielegalnie wjeżdżającym

Fot. Adobe Stock

do Polski przestępcom porad prawnych, które mają pomóc im ominąć obowiązujące w naszym kraju prawo.

Lewacka agenda

W oczy rzuca się także wyjątkowo mocno zideologizowany język i sposób patrzenia na państwo i społeczeństwo. Nie używają pojęcia nielegalny imigrant, ale „osoba w drodze" albo „osoba imigrancka". Zresztą w ogóle w dokumentach unika się raczej określania tożsamości – zamiast lekarz lub lekarka używane jest pojęcie „osoba lekarska", nie cudzoziemiec, ale „osoba cudzoziemska" itp.

Uwagę przykuwa także apel lewicowych organizacji do premiera RP, pod którym podpisała się także Fundacja Ocalenie. Dotyczy on „Strategii migracyjnej" i przyjętych tam rozwiązań. Ponieważ rządowy dokument zakłada znaczne ograniczenie przyjmowania migrantów, a na tych, którzy zostaną wpuszczeni, nakłada obowiązek przestrzegania nie tylko polskiego prawa, ale również norm kulturowych, organizacje zarabiające na przybyszach ostro przeciwko niemu protestują. „Przedstawiona w dokumencie koncepcja integracji jako dostosowanie się osób przybyłych do Polski nie tylko w odniesieniu do norm i zasad, ale i obyczajowości, przypomina bardziej projekt asymilacji niż integracji społecznej. Tym silniej, że idą za nim przywoływane obrazy protestów z imigranckich przedmieść europejskich miast. Przypomnijmy, że te protesty nie wynikają z tradycji krajów pochodzenia, niechęci do respektowania wartości danego kraju, ale skali wykluczenia, dyskryminacji, systemowej przemocy i braku możliwości awansu społecznego wpisanej w politykę tych państw wobec migrantów. Integracja jest czymś zupełnie innym. Jej celem jest takie organizowanie wspólnot, aby umiały ze sobą pokojowo funkcjonować, nie krzywdząc się wzajemnie, w ramach gwarantowanej przez państwo umowy społecznej" – czytamy.

> Fundacja Ocalenie zasłynęła zaangażowaniem na granicy polsko-białoruskiej, gdzie **atakowała funkcjonariuszy Straży Granicznej** oraz pomagała nielegalnym imigrantom przedostawać się do naszego kraju.

Pozornie można apel postrzegać jako naiwność w rozumieniu barier kulturowych i niedostrzegania fiaska budowania społeczeństw multi-kulti w Europie Zachodniej i USA. W rzeczywistości jest to jednak bardzo świadome traktowanie tolerancji jako afirmacji inności. W tym rozumieniu przybysze nie tylko nie mają obowiązku uznawać nadrzędności kultury i obowiązujących reguł państwa przyjmującego, ale wręcz przeciwnie – nakłada na to państwo obowiązek pielęgnowania odmienności imigrantów. Taka polityka nie tylko prowadzi do destrukcji społeczeństw – co widzimy w krajach zachodniej części kontynentu, ale wywołuje konflikty, gdyż wyrzuca imigrantów poza nawias głównego nurtu życia państwa.

Ich odmienność i niedostosowanie do norm kulturowych kraju, do którego przybyli, stają się przeszkodą w osiąganiu sukcesu zawodowego czy finansowego. W rzeczywistości spycha tych ludzi na niziny drabiny społecznej i wywołuje frustrację.

> Fundacja Ocalenie **udziela nielegalnie** wjeżdżającym do Polski przestępcom porad prawnych, które mają pomóc im ominąć obowiązujące w naszym kraju prawo.

Tyle tylko, że właśnie dzięki takiemu stanowi Fundacja Ocalenie i jej podobne organizacje zawsze będą miały ręce pełne roboty. Popłyną do nich środki na uświadamianie swoich usług: psychoterapie czy grupy wsparcia. Dzięki publicznym pieniądzom tego rodzaju podmioty będą dawały pracę tysiącom lewicowych działaczy, którzy dążą do zmiany struktury społecznej, rozmycia, a ostatecznie likwidacji państwa narodowego.

Sprawdzony model działania

Fundacja Ocalenie oraz inne podobne podmioty, które zarabiają dzięki pieniądzom przeznaczonym dla emigrantów, a które poparły apel do premiera w sprawie „Strategii migracyjnej", nie są jednak szczególnie nowatorskie. Podobny model działania przyjęły bliźniacze organizacje w całej Europie. To między innymi dlatego imigranci tak chętnie szturmują granice Unii – wiedzą, że mogą liczyć na wsparcie środowisk lewicowych.

Największy skandal wywołała niemiecka organizacja pozarządowa SOS Humanity, która na pomoc imigrantom otrzymała od rządu w Berlinie 790 mln euro. Gorąco zrobiło się, gdy włoski rząd ujawnił, że osoby z SOS Humanity zajmowały się dostarczaniem nielegalnych przybyszów do Włoch.

Fundacja Ocalenie na razie skupiła się tylko na nielegalnych migrantach docierających do Polski przez Białoruś. Blisko współpracowała z nią Magdalena Ch., partnerka Pawła Rubcowa, rosyjskiego szpiega, który kształtował opinię części liberalnego środowiska dziennikarskiego w Polsce.

eprasa.pl 89271c7d1f

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Słabczyk, generał – patron siły edukacji

Jan Wróbel

Ceniony w środowisku bloger, tropiciel spisków, szczególnie w otoczeniu Andrzeja Dudy, znanego (?) agenta zadaniowego przez bodaj Kijów, zwrócił kiedyś oko i na mnie. Cóż – Rafał Ziemkiewicz (agent), Monika Jaruzelska (wiadomo) i niżej podpisany chodzili do tego samego liceum. Jakże ucieszyłaby blogera patriotę wiadomość, że ostatnia podstawówka, do której miałem względną przyjemność uczęszczać, miała za patrona generała Henryka Słabczyka.

Generała Służby Bezpieczeństwa. Ta daaam...

Nie wiem, kto i dlaczego doprowadził do decyzji o nadaniu szkole imienia generała, o którym naprawdę nikt nie słyszał, może poza podwładnymi i ofiarami. Jak PRL-owska szkoła kiepsko już działała, świadczy fakt, że patronowi nie poświęcono za moich czasów ani jednej akademii, ani jednej melorecytacji („I kiedy w sercu zabraknie ci zapału do akcji, stań! Pomyśl! Bądź silny jak Słabczyk". Wymyśliłem na poczekaniu. Można? Można). Żadnej nawet wystawy, tym bardziej wieczornicy z dawnymi towarzyszami broni. Rezultat? Człowiek się nie dowiedział, że PRL jest dobra – i absolwenci szkół imienia Słabczyków tamtego świata równie mało przydali się w obronie przed CIA i Solidarnością, jak robotnicy z zakładów imienia Lenina i Komuny Paryskiej.

W zasadzie wszyscy wiemy, że szkoły w wieku XXI mają jeszcze mniejszy wpływ na ukształtowanie postaw politycznych młodzieży niż za socjalizmu.

1. Jak zawsze bardziej liczy się, co powiedzą rówieśnicy, co wyznaje ceniona nauczycielka (bo prawie w każdej szkole takie ważne dla młodzieży postacie się znajdą), wreszcie – co mówią w domu.
2. Nieporównanie bardziej niż kiedyś liczą się za to bodźce zupełnie ze szkołą niezwiązane i nie mam tu na myśli Oazy. Załamywania rąk nad pokoleniem zadaniowanym przez TikTok i Instagram nie ma końca. A przecież ledwo, ledwo ustępuje im popularności darknet. I tak dalej.
3. Jest nieokiełznane parcie na tzw. kulturę młodzieżową, w całości pozostającą w rękach wytrawnych ekspertów od zarządzania... wolnym rynkiem.

Zarówno jednak władze obozu Prawa i Sprawiedliwości, jak i obozu Koalicji Obywatelskiej zarządzają polską edukacją tak, jakby był rok – powiedzmy – 1880. I rozporządzenia, nowe przedmioty, nowe i słuszne podstawy programowe mogły skierować masy polskiej młodzieży z lewa na prawo albo odwrotnie. Wykonawcą marzeń o sprawnym jak maszyna systemie oświatowym zgniatającym to, co harde, a wynoszącym to, co warte, jest na końcu polska nauczycielka z zarobkami, które lepiej byłoby nazywać małorobkami. Właśnie ona, pozostawiając na boku własne przekonania, uniesiona oczywistym szacunkiem dla kolejnego ministra oświaty narodowej, nie zważając na opór materii – ma realizować marzenia władz, zaciskając z wysiłku wargi.

No, ciekawe. Nie było tak, nie jest i nigdy nie będzie, a jednak wszyscy po kolei tego samego próbują.

WYKONAWCĄ MARZEŃ O SPRAWNYM JAK MASZYNA SYSTEMIE OŚWIATOWYM, ZGNIATAJĄCYM TO, CO HARDE, A WYNOSZĄCYM TO, CO WARTE, JEST NA KOŃCU POLSKA NAUCZYCIELKA.

eprasa.pl 89271c7d1f

Kariery na falsach

Jakie to niesprawiedliwe: postawiono pod pręgierzem Jacka S. za przewinienie, które w III RP stało się chorobą tak powszechną jak **katar jesienią**. Innym uchodziło na sucho, a wokół niego taki szum... Że dla uczelni trochę słabe wizerunkowo? Oj tam, oj tam. Rodaków żaden „objawiony" przekręt nie dziwi, nie oburza. Geszefciarz może uchodzić za autorytet, byle miał plecy i krył przewały innych.

Monika Małkowska

Zanim wokół Collegium Humanum rozsnuł się smrodek za handel lipnymi dyplomami MBA, na niejednej uczelni – prywatnej bądź publicznej – wybijało szambo po ujawnieniu fikcyjnych studenckich bytów, tytułów przyznawanych na skróty, splagiatowanych rozpraw magisterskich lub doktorskich.

Doktoraty na krzywy ryj

Afera, którą poniżej przypomnę, rozpaliła ogólnopolskie emocje prawie dekadę temu. Chodziło o szwindle z doktoratami, o których grzmiały wszystkie media od „Gazety Wyborczej" po „Rzeczpospolitą". Sceną przekrętów była najstarsza i największa uczelnia artystyczna w Polsce – warszawska Akademia Sztuk Pięknych; bohaterami – osoby prominentne w świecie kultury, powiązane z ówczesną władzą. Wezwana do akcji Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów przeprowadziła wielomiesięczną kontrolę, wydając wyrok druzgocący dla uczelni, a konkretnie Wydziału Sztuki Mediów. I co? I nic. Sprawa zamieciona pod dywan, wszyscy zdrowi, ordery na piersiach.

Odpowiadał za to człowiek, który pojawił się na ASP w 2009 roku i już w następnym roku uruchomił na Wydziale Sztuki Mediów (wtedy także Scenografii) kramik z doktoratami dla powszechnie znanych i sobie znajomych. Zasadnicza sprawa: pominięcie doktoranckich studiów, statutowo trwających cztery lata. Jako „doctor thesis" przedstawiano gotowca, wyabstrahowanego z dorobku.

Mistrz ceremonii zatrudniał „promotorów" z innych miast, w ciemno piszących pozytywne recenzje za regulaminową stawkę. Sam nie pobierał konkretnej gratyfikacji. W zamian za to pozyskiwał osoby z kulturalnego świecznika. W tym samym 2009 roku zasiadł w fotelu prezesa Stowarzyszenia Autorów ZAiKS i pełnił tę funkcję przez trzy kadencje, do 2022 roku. Kim jest ów capo di tutti capi?

Gdzie Bajkał...

Janusz Fogler, z wykształcenia geograf, magisterka na UW w 1976 roku. Od tegoż roku do 1989 – dziennikarz i fotograf współpracujący z wieloma periodykami, które pozwalały mu „poznać świat" i publikować reportaże okraszone własnymi zdjęciami, na czele z nagradzanymi książkami „Tajemnice Bajkału" i „Odległa Rosja", obie z lat 80. Po ustrojowym przełomie wygrał konkurs na dyrektora Wydawnictw Artystycznych i Filmowych, następnie powołał do życia prywatną Wyższą Szkołę Sztuk Wizualnych i Nowych Mediów w Warszawie. W przedsięwzięciu wspierał go pewien profesor z Wydziału Grafiki stołecznej ASP. I tu zaczyna się akademicko-artystyczna kariera geografa-wydawcy.

Pierwszy geszeft: w 2006 roku magister geografii otrzymuje tytuł doktora na ASP, nie wiadomo, na ja-

Fot. Adobe Stock

kiej podstawie. W 2009 roku habilituje się na tej samej artystycznej uczelni i w tymże roku obejmuje stanowisko dziekana Wydziału Sztuki Mediów i Scenografii. Trzy miesiące później zostaje wybrany na prezesa ZAiKS-u. Przypieczętowaniem „artystycznej" kariery staje się tytuł profesora belwederskiego, nadany przez prezydenta Bronisława Komorowskiego. Z takim umocowaniem nasz bohater mógł zaszaleć. Profesor-dziekan-prezes-polityk poczuł się „ojcem chrzestnym" znanych artystów, którym w wolnorynkowej Polsce zaczęło się kiepsko powodzić.

Co artyście po tytule

W neoliberalnej rzeczywistości dawne artystyczne sławy, opozycjoniści i anarchiści poczuli się wyrolowani. Repatrianci, powracający na łono „wolnej" ojczyzny, liczyli na paletę propozycji, tymczasem musieli odbudowywać swoją pozycję. W tej sytuacji mężem opatrznościowym okazał się dziekan Sztuki Mediów, zarazem prezes stowarzyszenia twórców.

Warto przypomnieć, że w PRL-u ukończone studia artystyczne pozwalały wykonywać „profesję" plastyka, tym samym – zarabiać. Ale przymusu pracy nie było. Artyści, którzy w ludowej ojczyźnie szczycili się wolnym zawodem, nie mogli przewidzieć klęski, jaką – o paradoksie – sprowadzi na nich wolny rynek. Transformacja postawiła ich wobec nowej konkurencji. Dawne gwiazdy traciły blask oraz lukratywne propozycje. Nauczanie dawało im szansę wciąż błyszczeć, tym bardziej że chętnych do pobierania nauki nie brakowało.

Uczelnie plastyczne, a także kierunki dookolne – kuratorstwo, kulturoznawstwo, zarządzanie kulturą wizualną i tym podobne quasi-nauki – przeżywały oblężenie. Brakowało ciał pedagogicznych. Trzeba było jak najszybciej wyprodukować nowe kadry z cenzusem.

Wolnorynkowa patologia

W latach 90. Polska stała się krajem ludzi na potęgę się kształcących. Ale w nowym ustroju wykształcenie stało się kosztowne. To nie zniechęcało. Rodziny, zwłaszcza z małych miasteczek, supłały krwawicę, żeby dzieciakom zapewnić „lepszą przyszłość". Otwierały się nowe możliwości: namnażały się prywatne szkoły i szkółki „z uprawnieniami"; publiczne uczelnie organizowały (płatne) studia wieczorowe; powstawały prywatne uniwersytety kopiujące tradycyjne struktury, lecz finansowo uzależnione od wpłat studiujących. Szefowie tych placówek mieli wybór: hajs czy intelektualna przydatność kandydatów, oto jest pytanie. Początkowo MEN rygorystycznie traktowało

PROFESOR-DZIEKAN-PREZES-POLITYK POCZUŁ SIĘ „OJCEM CHRZESTNYM" ZNANYCH ARTYSTÓW, KTÓRYM W WOLNORYNKOWEJ POLSCE ZACZĘŁO SIĘ KIEPSKO POWODZIĆ.

sprawę: prawo do wręczania tytułów magisterskich otrzymywały jedynie te prywatne uczelnie, które rozliczyły się z utytułowanych ciał pedagogicznych.

Pogoń za kasą spatologizowała nasze szkolnictwo wyższe. Za stosowną kwotę – wszystko do nabycia: zaliczenia, magisteria, doktoraty, plagiaty... Nawet gdy szwindel został ujawniony, rozmywał się w niebycie, bo to przecież „niska szkodliwość społeczna". Z czasem wypracowano „nowatorski" system gratyfikacji, niewidoczny dla postronnych obserwatorów, często w ramach barteru. Długo nikt nie mógł się połapać, że jakiś pan/pani profesor wyrabia kilka, nawet kilkanaście etatów, rozrzuconych po całym kraju. Tak to działało: im wyższy rangą pedagog, tym mniejsze godzinowe pensum. Za profesorów tyrali asystenci, gotowi na mnóstwo ustępstw, byle nie stracić głodowych pensyjek. Ciała profesorskie świadczyły sobie wzajemne usługi: ja cię tu polecę, ty mnie tam.

Dla szkół artystycznych szczególnie wizerunkowo ważne stały się występy gwiazd. Studenci niewiele na tym zyskiwali, uczelnia – i owszem. Pojawienie się znanych nazwisk plasowało instytucję – i tak jest nadal – wyżej w rankingu szkół. Na złotonośnej kurze nie warto oszczędzać, raczej na „zwykłych" wykładowcach, często zatrudnianych na śmieciówkach, bez płatnych wakacji, bez gwarancji, że w kolejnym sezonie znów znajdą się w gronie pedagogów.

Doktoraty za poparcie

Powróćmy teraz na ulicę Spokojną – bo tam, przy cmentarzu Powązkowskim, mieści się Wydział Sztuki Mediów stołecznej ASP. W grudniu 2015 roku na Spokojnej zawrzało.

Media zaczęły trąbić o lewych doktoratach, co nie sprzyjało naborowi. W centrum ataków znaleźli się Anda Rottenberg, Krzysztof Wodiczko, Tomasz Tomaszewski, Andrzej Dudziński. Opłotkami przemknęło stadko innych krzywych „doktorów": Andrzej Świetlik, Tomek Sikora, Janusz Kapusta. Oraz niedoszła doktorantka sztuk wizualnych, Gołda Tencer.

Sam „master of disaster", jak nazywano pana dziekana, dla mediów zniknął.

Dramatis personae na pozór bardzo różnili się zawodowo i dorobkowo: kuratorka, fotograf, rysownik, architekt, aktorka... Dlaczego ubiegali się o doktorat w dziedzinie sztuk wizualnych? Otóż wszyscy byli na tyle popularni, że uważali, iż tytuł doktora – „obroniony" gdziekolwiek – po prostu im się należy. Przecież są elitą! Czuli się nią także z racji politycznych przekonań: wszyscy jednoczyli się w komitecie poparcia dla Bronisława Komorowskiego. A patronował im prezes ZAiKS-u, zarazem dziekan Sztuki Mediów. Pod jego obronę się uciekali.

POGOŃ ZA KASĄ SPATOLOGIZOWAŁA NASZE SZKOLNICTWO WYŻSZE. ZA STOSOWNĄ KWOTĘ – WSZYSTKO DO NABYCIA: ZALICZENIA, MAGISTERIA, DOKTORATY, PLAGIATY...

Historie osobiste

Nie wszyscy mieli równie dużo za uszami. Najmniej zawinił zmarły dwa lata temu Andrzej Dudziński. Za PRL-u przeszedł cały tok studiów na architekturze i ASP. Zagraniczny wyjazd (1970) sprawił, że nie zaliczył magisterskiego egzaminu. Wrócił wkręcony w inne sprawy, inne klimaty. W 1977 roku emigrował na dobre, ale na oceanem zaczął pedagogiczną przygodę w Nowym Jorku. Z kolei Tomasz Tomaszewski „odstudiował" ledwie rok Politechniki Warszawskiej, potem przekwalifikował się na fotoreportera, przez wiele lat wziętego. Zupełnie inny jest przypadek Krzysztofa Wodiczki, który wyjechał z Polski w 1977 roku, najpierw do Kanady, potem do USA, gdzie wciąż naucza. Na Wydziale Sztuki Mediów figurował krótko jako „pedagogiczna perfuma", którego to epizodu nawet nie uwzględnia w biogramie.

W NEOLIBERALNEJ RZECZYWISTOŚCI SKANDAL NIE KOMPROMITUJE, JENO SŁUŻY PROMOCJI.

Dwa najbardziej krzywe przypadki to Andrzej Świetlik i Tomek Sikora. W 2001 roku powołali do życia Galerię Bezdomną, co im się chwali, lecz nie do końca: młodzi niezależni fotografowie chętnie zapisywali się na wysokopłatne kursy

eprasa.pl 89271c7d1f

prowadzone przez dwóch starszych i popularnych kolegów. Obydwaj wymienieni startowali do doktoratów ledwie z maturami. Obydwaj doktoryzowali się w 2013 roku. Świetlik, fotograf samouk, znany jest ze współudziału w wystawach i performance'ach Łodzi Kaliskiej (z której to formacji rekrutował się również łódzki architekt Marek Janiak, także doktoryzowany na Sztuce Mediów). Tomek Sikora, również autodydakta, reemigrant po 1989 roku, kursował między Warszawą a Melbourne, co kilka miesięcy produkując albumy ze swoimi fotografiami. Obydwaj w rok przeskoczyli trzy etapy wymagane do otrzymania doktoratów: studia artystyczne, studia doktoranckie i wykonanie dzieła uprawniającego do tytułu. Rekord świata!

Osobne, ekskluzywne towarzystwo tworzą pupile „ojca chrzestnego" doktoranckiej grandy: Ryszard Horowitz i Janusz Kapusta. Ten pierwszy był dekoracją Wydziału Sztuki Mediów, udekorowany tamże tytułem doktora h.c. Pojawiał się w Polsce incydentalnie, czasem miał wykład na wiadomej uczelni. Janusz Kapusta, filozofujący ilustrator, zdecydował się na powrót z Ameryki do ojczyzny. Tu mógł wciskać, gdzie tylko się dało, swój na wszelki wypadek opatentowany wynalazek: jedenastościenną bryłę nazwaną K-dronem. Taka artystyczna „kostka Rubika". To ona stała się tezą doktoratu Kapusty, obronionego w 2010 roku. Czy trzeba dodawać, że jedna z nagród ZAiKS-u to również miniaturowa wersja tej bryły?

Caryca sięga po tytuł

W neoliberalnej rzeczywistości skandal nie kompromituje, jeno służy promocji. Tak i w tym przypadku. Mega gwiazdą doktoranckiego przewału sprzed 9 lat była Anda Rottenberg. Przekonana, że jej nikt nie podskoczy. Chciała doktoryzować się „ze sztuki kuratorowania". Jako „tezę" podsunęła prezentację „Obok. Polska – Niemcy 1000 lat historii w sztuce", otwartą jesienią 2011 roku w berlińskim Gropius Bau. Wówczas wspierała ją profesor Małgorzata Omilanowska, do której też należała redakcja naukowa katalogu i jeden z tekstów w tej publikacji. I oto Omilanowska, ówczesna ministra kultury (2014–2015), prywatnie – bliska przyjaciółka kandydatki na doktora, miała pełnić funkcję promotorki! Wszystko miało zostać między swoimi. Szyki pokrzyżowała Centralna Komisja ds. Stopni i Tytułów. Nie uwierzycie – oni zablokowali nadanie tytułu „carycy"!

Tak to uzasadnili: „Pracy doktorskiej nie można zakwalifikować do dyscypliny sztuki piękne. W sprawie zachodził fakt współuczestniczenia promotora w tworzeniu wystawy będącej podstawą dysertacji doktorskiej. W przypadku jednego z recenzentów także zachodził fakt współautorstwa ocenianego dzieła. Nie zostały zachowane warunki bezstronności oceny pracy doktorskiej".

Dlaczego Rottenberg, historyczka sztuki po UW, nie próbowała doktoryzować się w swojej macierzystej uczelni? Bo u Foglera miała z górki. Na swoim wydziale musiałaby się przyłożyć.

Jakie były konsekwencje afery na Sztuce Mediów? Żadne. Zamiecione, zapomniane. Anda Rottenberg cichutko obroniła tytuł na Wydziale Sztuki Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach. A całkiem niedawno, 15 listopada br., otrzymała tytuł doktory (to nie pomyłka) honoris causa Akademii Sztuki w Szczecinie. Polacy lubią szwindle, byle z przytupem. Jestem pewna, że Collegium Humanum tylko zyska na renomie.

JAKIE BYŁY KONSEKWENCJE AFERY NA SZTUCE MEDIÓW? ŻADNE. ZAMIECIONE, ZAPOMNIANE.

KURATORKA, FOTOGRAF, RYSOWNIK, ARCHITEKT, AKTORKA... DLACZEGO UBIEGALI SIĘ O DOKTORAT W DZIEDZINIE SZTUK WIZUALNYCH? UWAŻALI, IŻ TYTUŁ DOKTORA – „OBRONIONY" GDZIEKOLWIEK – PO PROSTU IM SIĘ NALEŻY. PRZECIEŻ SĄ ELITĄ!

eprasa.pl 89271c7d1f

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO

Upadek inaczej widziany

Zdzisław Krasnodębski

Zanim Joseph Nye ukuł pojęcie „soft power", siła kultury, idei, narracji była – od dawien dawna – narzędziem polityki. Rywalizacja polityczna zawsze była także walką na idee. W sporze o Polskę, jej prawa do bycia państwem, nie było inaczej. Wielką rolę odegrała – i odgrywa – w nim ocena Rzeczypospolitej przedrozbiorowej. Z punktu widzenia dominujących narracji historii europejskiej Rzeczpospolita wydawała się anomalią, wolność obywateli Rzeczypospolitej przedstawiano jako wyraz zacofania. Najważniejszy historyk bismarckowskich Niemiec Heinrich von Treitschke pisał o „gnijącym państwie sarmackiej szlachty". Zabór części ziem polskich przez Prusy miał być gwarancją dobrobytu: „Nieszczęsny lud Wielkopolski i Mazowsza po raz pierwszy od wieków mógł teraz doznać błogosławieństwa sprawiedliwej i troskliwej administracji. Szlachcic stał się wreszcie poddanym państwa, musiał podporządkować się powadze prawa, chłop i Żyd mogli znów wykuwać swą przyszłość, poświęcając się pokojowej pracy, nie drżąc przed batem szlachcica". W czasach rozbiorów sami Polacy ulegali przekonaniu, że ich dzieje to prawie bez wyjątku pasmo pomyłek i nieszczęść; monarchia absolutna wydawała się jedyną możliwością uratowania państwa. Michał Bobrzyński pisał: „W ówczesnym... położeniu geopolitycznym tylko silna i scentralizowana monarchia, oparta na potężnym wojsku i dobrze zorganizowanym skarbie, mogła zapewnić państwu polskiemu utrzymanie odpowiedniej pozycji w Europie. Zamiast tego nastąpiło u nas coś, co śmiało nazwać można degeneracją władzy państwowej, degeneracją państwa". A Stanisław Koźmian twierdził, że: „wewnątrz nagromadziło się tyle błędów politycznych, tyle grzechów społecznych, tyle zaniedbania ekonomicznego, tyle bezrządu, tyle słabości, tyle wadliwych urządzeń, że i słabemu sąsiadowi Polska nie byłaby przy końcu mogła stawić czoła". Prowadziło to go do przekonania, że Polakom zabrakło umiejętności państwotwórczych: „Naród, który utworzył był państwo polskie, nie był w należyty sposób obdarzony zmysłem politycznym, to jest zbiorową zdolnością rozwijania, wzmacniania i zachowania kształtu państwowego; albo że jeżeli go miał niegdyś na tyle, aby utworzyć państwo, a nawet znacznie je rozszerzyć, ale nie miał go dosyć, aby je należycie wzmocnić i zabezpieczyć; lub też, że zmysł polityczny w tym narodzie stępiał".

> PRZESZŁE ZDARZENIA NIE BYŁY „NIEUCHRONNE". UPADEK RZECZYPOSPOLITEJ WYNIKAŁ – TAKŻE – ZE SPLOTU OKOLICZNOŚCI I JEDNOSTKOWYCH DECYZJI.

Takie oceny były wyrazem frustracji po utracie państwa i dziesięcioleciach życia w niewoli, nieskutecznych powstań i braku perspektyw na odzyskanie niepodległości. Były także efektem propagandy krajów zaborczych. Rażą brakiem szerszej perspektywy porównawczej i idealizują państwa „zachodnie", przeceniają zaborców. Także w czasach PRL nie brakło głosów, że zabory były korzystne pod względem gospodarczym, politycznym i kulturowym, że „zmo-

eprasa.pl 89271c7d1f

dernizowały” Polaków. Na przykład Stefan Bratkowski twierdził, że bez rozbiorów Polska pozostałaby „czymś w rodzaju Hiszpanii” – groziłaby nam stagnacja, inkwizycja, nie byłoby rozwoju gospodarki i oświaty. I pyta, kto byłby bardziej zacofany: „czy ci Polacy à la Hiszpania, czy też autentyczni Polacy z ówczesnej Polski rozszarpanej między zaborców. Może jednak nie liczy się tylko sama niepodległość i czyn zbrojny?”.

Obecnie inaczej zaczyna się patrzeć na historię Europy i Polski. Gdy Quentin Skinner odkrywał znaczenie republikanizmu w tradycji i myśli politycznej Europy, nie wiedział jeszcze nic (lub prawie nic) o Polsce. Obecnie coraz więcej badaczy zagranicznych interesuje się Rzecząpospolitą. Nie popadając w zbytnią emfazę, zachowując zasady warsztatu historyka, odkrywają jej wielkość, jej znaczenie i zalety. Niedawno w wersji polskiej i angielskiej ukazała się książka Richarda Butterwicka-Pawlikowskiego „Światło i płomień”, opisująca dorobek Rzeczypospolitej w ostatnich dziesięcioleciach przed rozbiorami. Ten wybitny historyk ocenia, że: „Rzeczpospolita czasów stanisławowskich nie była państwem niewydolnym (failed state). Nie została litościwie dobita przez lepiej rządzonych sąsiadów, kiedy grzęzła w anarchicznym nieszczęściu. W wyjątkowo niekorzystnych warunkach ta na przemian nękana przez burze i flautę nawa państwowa zdołała chwycić wiatr w żagle. W 1788 roku, gdy wymknęła się ze strefy równikowej ciszy, jaką była rosyjska hegemonia, wypłynęła na strategicznie ważne wody i zagroziła geopolitycznym interesom sąsiadów. Rzuciła też monarchom sąsiednich mocarstw wyzwanie ideologiczne i demograficzne... szlachecki naród polski był wspólnotą polityczną, która wstąpiła na ścieżkę wiodącą do upodmiotowienia całej ludności”.

Rzeczpospolita była państwem „dwoistego”, ale jednego narodu, wspólną Ojczyzną, Rzeczpospolitą Polską, jednoczonym także dominującą wiarą, wspólną pamięcią historyczną i tradycją polityczną. Usprawnienie państwa, wzmocnienie jego siły, w tym także militarnej, wywołało zaniepokojenie mocarstw ościennych. Butterwick pisze, że rewolucyjne reformy Sejmu Wielkiego były „frenetyczną, walkiryjską szarżą w kierunku ostatecznej zagłady. Miała ona przynieść momenty nadziei i rozpaczy, chwały i hańby, dalekowzrocznej polityki i samolubnej krótkowzroczności, a także poprawę wizerunku Rzeczypospolitej. Bez tej metamorfozy narodu polskiego mocarstwa zaborcze zrealizowałyby znacznie łatwiej swój wspólny cel: «konieczność usunięcia wszystkiego, co ma nieść ze sobą pamięć istnienia Królestwa Polskiego», «które ma zostać odtąd na zawsze zniesione»”.

Przeszłości nie da się zmienić (ale można ją inaczej rozumieć). Determinizm historyczny jest fałszywą filozofią. Przeszłe zdarzenia nie były „nieuchronne”. Upadek Rzeczypospolitej wynikał – także – ze splotu okoliczności i jednostkowych decyzji. Dzisiaj – z punktu widzenia Polski niepodległej – za incydentalne można uznać 123 lata nieistnienia naszego państwa, europejską ekspansję Rosji i krótkotrwałą potęgę sztucznego państwa pruskiego, za anomalię trwanie w XIX w. wielonarodowego imperium Habsburgów. Ale to, czy takie widzenie przeszłości okaże się trwale prawdziwe, zależy od przyszłości, jaką stworzymy.

> ***„Szlachecki naród polski był wspólnotą polityczną, która wstąpiła na ścieżkę wiodącą do upodmiotowienia całej ludności”.***
>
> **RICHARD BUTTERWICK-PAWLIKOWSKI**

> W CZASACH ROZBIORÓW SAMI POLACY ULEGALI PRZEKONANIU, ŻE ICH DZIEJE TO PRAWIE BEZ WYJĄTKU PASMO POMYŁEK I NIESZCZĘŚĆ; MONARCHIA ABSOLUTNA WYDAWAŁA SIĘ JEDYNĄ MOŻLIWOŚCIĄ URATOWANIA PAŃSTWA.

eprasa.pl 89271c7d1f

ORLEN – wyniki za trzeci kwartał

W listopadzie ORLEN zaprezentował wyniki za **trzeci kwartał 2024 roku**. Przychody wyniosły 67,9 mld zł, EBITDA LIFO 8,8 mld zł, a przepływy z działalności operacyjnej 8,6 mld zł.

Andrzej Berezowski

Wysokość EBITDA LIFO, czyli zysku operacyjnego połączonego z wyceną zapasów, była zgodna z wcześniejszymi prognozami spółki i wyniosła 8,8 mld zł. EBITDA LIFO mogła

Fot. Orlen SA

być wyższa, gdyby nie trudna sytuacja makroekonomiczna, która doprowadziła m.in. do spadku marż rafineryjnych o 65 proc. w ujęciu rok do roku. Jednocześnie utrzymał się wysoki poziom kursu złotówki do dolara. W oparciu o tę walutę koncern kupuje surowiec.

Zysk oczyszczony z regulacji i zdarzeń nadzwyczajnych

W czasie prezentacji wyników za trzeci kwartał 2024 roku, która po raz pierwszy odbyła się w gmachu Muzeum Narodowego w Warszawie. Warto dodać, że wybór lokalizacji nie był przypadkowy, ponieważ ORLEN jest mecenasem muzeum. ORLEN przedstawił również dane dotyczące wyniku netto za 9 miesięcy roku 2024 oczyszczonego z regulacji, jak również zdarzeń wyjątkowych i nadzwyczajnych, takich jak: przejęcie PGNiG, mrożenie cen energii, podatki. Gdyby taki zysk można raportować w oficjalnych dokumentach, to wyniósłby on 14 mld netto i byłby wyższy o 2 mld od zysku wypracowanego rok wcześniej liczonego w ten sam sposób. Spółka zgodnie z obowiązującymi przepisami zaraportowała 3 mld zysku netto.

Przychody i koszty

W trzecim kwartale 2024 roku Grupa ORLEN wypracowała przychody na poziomie 67,9 mld zł, a koszty funkcji korporacyjnych ograniczone zostały do 394 mln zł.

Stopień wykorzystania mocy rafineryjnych wyniósł 94 proc. Pozwoliło to na przerobienie w rafineriach Grupy ORLEN w Polsce, Czechach i na Litwie 10,1 mt ropy. W polskich rafineriach osiągnięto wyższy o 6 proc. (r/r) uzysk paliw w efekcie niższego udziału zasiarczonych rop w strukturze przerobu.

W CIĄGU DZIEWIĘCIU MIESIĘCY TEGO ROKU GRUPA ORLEN PRZEZNACZYŁA 22,1 MLD ZŁ NA INWESTYCJE.

Inwestycje

W ciągu dziewięciu miesięcy tego roku Grupa ORLEN przeznaczyła 22,1 mld zł na inwestycje. W kolejnych miesiącach planuje zrealizować strategiczny program rozwoju sieci dystrybucji energii w północnej i środkowej Polsce oraz wybudować połączenie morskiej farmy wiatrowej Baltic Power z lądową stacją odbiorczą. Spółka pracuje też nad stacjami benzynowymi z alternatywnymi paliwami, w tym takimi, które posiadają w ofercie paliwo HVO100, czyli biopaliwo drugiej generacji – uwodorniony olej roślinny. Dwie pierwsze stacje działają już w Niemczech. W 2025 roku mają ruszyć pilotażowe stacje w Czechach. Na terenie Zakładu Produkcyjnego w Płocku realizowana jest budowa instalacji do produkcji HVO o wydajności 300 tys. ton gotowego biokomponentu rocznie. Produkt końcowy będzie stosowany jako dodatek do oleju napędowego. Inwestycja planowana jest do oddania w 2025 roku.

Podtrzymanie polityki dywidendy

W czasie konferencji koncern zadeklarował podtrzymanie polityki związanej z dywidendą. Szczegóły zostaną zaprezentowane w nowej strategii grupy, której ogłoszenie planowane jest na przełom roku. W tym roku zgodnie z decyzją Zwyczajnego Walnego Zgromadzenia ORLEN S.A. dywidenda wypłacona zostanie 20 grudnia. Wyniesie po 4,15 PLN na 1 akcję. Łącznie spółka wypłaci 4,8 mld zł dywidendy. Dywidendą objęte są wszystkie akcje Spółki.

GDYBY TAKI ZYSK MOŻNA RAPORTOWAĆ W OFICJALNYCH DOKUMENTACH, TO WYNIÓSŁBY 14 MLD NETTO I BYŁ WYŻSZY O 2 MLD OD ZYSKU WYPRACOWANEGO ROK WCZEŚNIEJ LICZONEGO W TEN SAM SPOSÓB.

Artykuł powstał we współpracy z ORLEN SA.

eprasa.pl 89271c7d1f

Jak uciszyć 11 MILIONÓW ludzi?

Sprawa przybrała charakter lawinowy i może wpuścić do francuskiej polityki moce wendety, które w przyszłości **trudno będzie opanować**. Pytanie, czy zdają sobie z tego sprawę wszyscy aktorzy politycznej rozróby, która od tygodnia rozpala Francję?

Marcin Darmas

Marine Le Pen

Fot. Xose Bouzas / Hans Lucas Agency / Forum

Jednym z najważniejszych dowodów w sprawie, o której za chwilę, jest świstek, krótki mejl, wysłany 16 czerwca 2014 roku do Marine Le Pen przez skarbnika partii, Walleranda de Saint-Justa: „Nie damy sobie finansowo rady, jeśli przez najbliższe lata nie będziemy drastycznie oszczędzać i nie wykorzystamy wszystkich możliwości finansowych, jakie daje nam Parlament Europejski".

Jaka była wina ówczesnych członków partii Marine Le Pen? Ostentacja, brak umiaru, fatalne zeznania (jedna z oskarżonych asystentek przyznała, że nie zamieszkała w Strasburgu – a taki ma obowiązek – bo jej córka zżyła się z koleżankami w rodzimej szkole...), połączenie buty i pychy, przeświadczenie o nietykalności i infantylne eksplikacje. Sprawa „nielegalnego wykorzystania środków publicznych" – mamy domniemanie niewinności – nie pogrąży Zjednoczenia Narodowego. Niemniej może przekreślić start Le Pen w najbliższych wyborach prezydenckich.

„System" polityczno-sędziowski wydaje się zdeterminowany – postawił na nogi legion sojuszników, aby uprzykrzyć normalne funkcjonowanie Zjednoczenia Narodowego. Chcąc za wszelką cenę „ratować" republikę przed brunatnym niebezpieczeństwem, francuski establishment zawiera niedemokratyczne alianse.

Przyjrzyjmy się sojusznikom „imperium dobra".

Po pierwsze, prokuratorzy zainspirowani równie szkodliwą, co populistyczną, doktryną „moralności życia politycznego". Żeby była jasność i nie przesądzając ostatecznego finału skandalu: wina Marine Le Pen wydaje się równie oczywista, co – nad czym należy ubolewać – powszechnie praktykowana. Parlamentarzyści, wówczas jeszcze Frontu Narodowego, jak i ona sama, zatrudniali w latach 2014–2019 na fikcyjnych stanowiskach członków własnej partii w Parlamencie Europejskim. Le Pen utraciła umiar i moralną busolę, zatrudniając i opłacając z dedykowanej puli biura poselskiego nawet... własnego ochroniarza!

Parlament Europejski ubiega się o zwrot czterech milionów euro od posłów Zjednoczenia Narodowego.

Fikcyjne zatrudnienia to bolączka, oczywiście, nie tylko francuskiej polityki. Prawie strącono z politycznego piedestału Jacques'a Chiraca za multiplikację nieprawdziwych etatów, gdy rządził paryskim ratuszem. Analogicznie, ten godny potępienia proceder uprawiał ostatnio, bliski Emmanuela Macrona, centrysta François Bayrou. Przykłady – niestety – można mnożyć.

Nie ulega wątpliwości, że liderka Zgromadzenia Narodowego, jeśli jest winna, musi ponieść konsekwencje. Oddać uposażenie, zwrócić przywłaszczone nielegalnie pensje. Należałoby również rozważyć grzywnę bolesną finansowo i przekazać ją dla jakiejś szacownej fundacji wspierającej transparentność w życiu publicznym i dbającej o najwyższe standardy etyczne.

Nie, prokuratorzy republiki wychodzą z szyku, żądając dla Marine Le Pen kary przykładnej, dotkliwej i jak dotąd nienotowanej w annałach V Republiki. Oskarżycielska lista, tak zjadliwa, że wylewa się zeń jad, robi wrażenie. W swoim „réquisitoire" prokurator żąda dla szefowej Zjednoczenia Narodowego pięciu lat więzienia w zawieszeniu na trzy lata, trzysta tysięcy euro grzywny, a przede wszystkim pięciu lat zakazu startu w wyborach. Na tym nie koniec, ewentualna kara miałaby być egzekwowana niezwłocznie po ogłoszeniu wyroku. To znaczy, że Le Pen – o ile zostanie skazana – będzie, co prawda, mogła wnieść apelację od wyroku, lecz nie wystawi peryskopu nosa z więzienia (mowa również o innej opcji, o zastosowaniu dozoru elektronicznego).

Kalendarium nie jest przypadkowe. Po postawieniu zarzutów adwokaci Le Pen mają dwa miesiące na ustosunkowanie się, później zostanie ogłoszony wyrok z rygorem natychmiastowej wykonalności. Dla przypomnienia najbliższe wybory prezydenckie odbędą się w 2027 roku.

Hervé Lehman, były adwokat, autor rozprawy o procesie François Fillona (dla przypomnienia kandydat prawicy został pogrążony w przedostatnich wyborach prezydenckich dwiema aferami: fikcyjnym zatrudnieniem żony oraz finansowanymi z budżetów publicznych... drogimi garniturami), w rozmowie z dziennikiem „Le Figaro" nie owija w bawełnę: „Kolejni ministrowie mogą

CHCĄC ZA WSZELKĄ CENĘ „RATOWAĆ" REPUBLIKĘ PRZED BRUNATNYM NIEBEZPIECZEŃSTWEM, FRANCUSKI ESTABLISHMENT ZAWIERA NIEDEMOKRATYCZNE ALIANSE.

eprasa.pl 89271c7d1f

do woli zapewniać o miłości do niezależności politycznej całego aparatu sprawiedliwości. Prawda jest taka, że magistratura i lwia część korpusu sędziowskiego niezależne nigdy nie były". I nie ma w tym nic dziwnego. Wystarczy czytać à la lettre artykuł ósmy kodeksu z 1958 roku regulujący działanie magistratury, aby zrozumieć, że znój wiążący egzekutywę z systemem sprawiedliwości jest bardzo silny: „Magistratura działa pod przewodnictwem i ścisłą kontrolą hierarchiczną i bezpośrednio odpowiada przed ministrem sprawiedliwości". Na dowód zeznania Élianne Houlette przed komisją parlamentarną badającą kazus Fillona, która powiedziała wprost, że składy sędziowskie w politycznych sprawach są wybierane w wyniku „odgórnych" nacisków.

Wyroki ostatnich lat intrygują i skłaniają do refleksji na temat kondycji sędziowskiego aparatu. Sarkozy – skazany. Fillon – skazany. Bayrou, bliski współpracownik obecnego prezydenta, z – nomen omen zarzutami podobnymi do Le Pen – uniewinniony.

Do linczu przystąpili, oprócz prokuratorów, również dziennikarze. Wieczni reprezentanci dobrego smaku, strażnicy nienagannych manier i moralności. Odkąd oskarżyciel republiki postawił Le Pen zarzuty, dziennikarze nabrali lapidarnej swady. Wydają się ukontentowani, a o kondycji demokracji mówią chętnie w tonacjach dziecięcego podwórka. „Ma za swoje", „Gdyby działała zgodnie z prawem, nie miałaby problemów", „W najgorszym razie zostanie skazana, a w wyborach prezydenckich wystartuje jej najbliższy współpracownik, Jordan Bardella" – możemy czytać i słyszeć we francuskiej sferze medialnej.

Przypominają się rozważania eseisty Philippe'a Muraya: „Zostaliśmy dotknięci nieuleczalnym dobrem. Nowe tysiąclecie tonie w słodkim miodzie. Gatunek ludzki natomiast wyjechał na wakacje. Jest nieobecny [...]. Wątpliwość otrzymała status dolegliwości". Nieliczni odstępują od chóru „imperium dobra". Gdyby Le Pen reprezentowała lewicę, posiadałaby certyfikat „nienaruszalności". Znów uruchomił się mechanizm protoplastów rewolucjonisty Saint-Justa, którzy do cnoty chcą zmuszać. W tej pogoni za cnotą zakładają progresywne maski. Uważają za postęp to, że można zawiesić procedury demokratyczne w imię powszechnej moralności. A przecież już Napoleon twierdził, że błędem jest łączyć cnotę z polityką. Takiego mariażu nigdy nie było i nie będzie.

Po ogłoszeniu prokuratorskich zarzutów Marine Le Pen wystąpiła w wywiadzie politycznym stacji TF1. Rzecz jasna, broniła się. Odrzucała en bloc fakt, że parlamentarzyści niezgodnie z prawem korzystali z poselskich apanaży w latach 2014–2019. Podkreśliła, że nie chodzi o ustalenie stanu faktycznego sprawy „fikcyjnych etatów", lecz o pozbycie prawa głosu ok. 11 milionów Francuzów, którzy zamierzają na nią głosować w najbliższych wyborach prezydenckich. Słowem, aparat sądowniczy pragnie ją „politycznie uśmiercić".

Śmierć za fikcję... To byłby symptom nastania niepokojących czasów. Rozmaite komplikacje i sploty mogą przecież spowodować, że rzeczywistość obróci się przeciwko aliansom „imperium dobra". Tak stało się w Stanach Zjednoczonych, gdy próbowano pokonać Donalda Trumpa na sali sądowej. Oskarżono przecież prezydenta elekta o malwersacje, niepłacenie podatków, seksizm, nawoływanie do buntu. Media pospołu z aparatem sądowym próbowały obrzydzić polityka w oczach obywateli. Stało się odwrotnie. Zadziałała logika „kozła ofiarnego". Trump coraz częściej wychodził na ofiarę linczu. Najpierw wzbudzał pogardę, a następnie litość. Obecnie przeżywa tryumfalny powrót do Białego Domu.

ZNÓW URUCHOMIŁ SIĘ MECHANIZM PROTOPLASTÓW REWOLUCJONISTY WALLERANDA SAINT-JUSTA, KTÓRZY DO CNOTY CHCĄ ZMUSZAĆ.

Adepci „imperium dobra" posiłkują się filozofią kolektywnej terapii. Chcą reedukować społeczeństwo, przysposobić do „dobrych intencji", chcą mieć wpływ na ich życie zarówno prywatne, jak i publiczne, ale i ćwiczyć społeczeństwo w jedynie możliwych i cnotliwych decyzjach demokratycznych. Traktowanie obywateli jak dzieci to niebezpieczna gra, przypominająca bajkę o nieroztropnym uczniu czarnoksiężnika, który wypuścił na świat moce hulające bez nadzoru. Wyborcy mogą przecież się ująć za „skrzywdzonym i poniżonym". Tak było ostatnio w Stanach Zjednoczonych. Jak będzie we Francji? Dowiemy się już niedługo.

eprasa.pl 89271c7d1f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Tadeusz Płużański

Medalik z Matką Boską

27 listopada 1947 r. w Zabrzu komunistyczna bezpieka aresztowała ppłk. Łukasza Cieplińskiego, oficera ZWZ-AK, prezesa IV Zarządu Głównego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość. W śledztwie w katowni bezpieki przy ul. Rakowieckiej 37 w Warszawie on i jego podwładni byli nieludzko torturowani.

Tak Ciepliński opisywał trwającą trzy lata gehennę: „leżałem skatowany w kałuży własnej krwi. Mój stan psychiczny był w tych warunkach taki, że nie mogłem sobie zdawać sprawy z tego, co pisał oficer śledczy". W wyniku znęcania się Ciepliński ogłuchł na jedno ucho, a kiedy nie mógł już chodzić o własnych siłach, na przesłuchania wnoszono go na kocu.

Przed krzywoprzysiężnym sądem mówił: „Staję przed zarzutem zdrady narodu polskiego, a przecież już w młodości życie moje Polsce ofiarowałem i dla niej chciałem pracować. Dla mnie sprawa polska była największą świętością". 14 października 1950 r. Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie skazał Cieplińskiego i jego sześciu podkomendnych na karę śmierci. 16 grudnia 1950 r. w majestacie stalinowskiego bezprawia sąd wyższej instancji utrzymał wyrok w mocy, a „prezydent" Bierut decyzją z 20 lutego 1951 r. nie skorzystał z prawa łaski. 1 marca 1951 r. strzałem w tył głowy w mokotowskim więzieniu zamordowani zostali: ppłk Łukasz Ciepliński, mjr Adam Lazarowicz, mjr Mieczysław Kawalec, kpt. Franciszek Błażej, kpt. Józef Rzepka, por Karol Chmiel, por Józef Batory.

Głównym mordercą sądowym całej grupy był Aleksander Warecki (podpisujący się także swoim prawdziwym nazwiskiem Warenhaupt). Pod jego przewodnictwem pozostali „sędziowie" notorycznie przerywali Cieplińskiemu, oskarżali go o prowokacyjne zachowanie. Np. po takich słowach: „Nie zostały mi dane do wglądu akta sprawy. Nie znam ich zupełnie. Protokoły podpisywałem pod przemocą fizyczną, treści większości nie pamiętam, byłem nieprzytomny".

Orzecznictwo tego pseudosądu musiało być zgodne z linią kom-partii, wyrażoną w głównym organie czerwonej propagandy, „Trybunie Ludu", która pisała o „zwykłej szajce szpiegów i morderców, którzy działali na rzecz imperialistów, a przede wszystkim na rzecz amerykańskich podżegaczy wojennych".

Aleksander Warenhaupt był zaledwie dwa lata młodszy od Cieplińskiego. Ten przedwojenny absolwent prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim po wojnie kierował kilkoma sądami wojskowymi w kraju. „Odznaczał się bezwzględnością" – przeczytamy w komunistycznym raporcie badającym w 1956 r. „błędy i wypaczenia" stalinizmu. Kiedy Warecki zmarł w 1986 r., „Życie Warszawy" w nekrologu napisało: „...odszedł płk A. Warecki, prawy, ofiarny i skromny...".

Łukasz Ciepliński żył tylko 38 lat. Wiedział, że nie będzie miał pogrzebu, tylko zostanie wrzucony pod osłoną nocy do jakiegoś bezimiennego dołu. Dlatego tuż przed śmiercią połknął medalik z Matką Boską. To jak dotąd nie wystarczyło do identyfikacji jego szczątków na „Łączce" Powązek Wojskowych w Warszawie. Po prezesie IV Zarządu WiN pozostały grypsy – czekając w celi śmierci na wykonanie wyroku, pisał w tajemnicy przed ubecją listy do żony i małego syna Andrzejka, którego nigdy nie poznał.

eprasa.pl 89271c7d1f

Odrzucenie polityki moralnego szantażu

Fot. Al Drago - Pool via CNP / MEGA / The Mega Agency / Forum

Wszyscy, którzy głosili, że „trumpizm" był w historii politycznej USA jedynie mało znaczącym incydentem, czymś w rodzaju „wypadku przy pracy", muszą dziś **zweryfikować** ten pogląd.

Marek Nowak

Amerykańskie wybory sfalsyfikowały również inną kwestię. Stosowana przez liberalny mainstream strategia totalnej wojny absolutnego dobra z absolutnym złem, w której tępiony jest już nawet nie polityczny symetryzm, ale wszelkie jego pozory czy cienie, nie przynosi już politycznych profitów. Podobnie jak nieustanne straszenie „populistami", ciągłe obrażanie i próby zawstydzania ich wyborców. Lubujący się w tym przedstawiciele elit politycznych, kulturalnych czy biznesowych stają się coraz bardziej figurami minionej epoki. Świat się zmienia. Pytanie, czy liberalny mainstream w końcu to dostrzeże?

Faszysta Trump

„Zwycięstwo PiS zaszkodzi tylko Polsce, ale zwycięstwo Trumpa może mieć takie skutki, jak dojście Hitlera do władzy" – mówił pod koniec października podczas „Igrzysk Wolności" w Łodzi Adam Michnik, redaktor naczelny „Gazety Wyborczej". Debata

eprasa.pl 89271c7d1f

publiczna w Polsce, od dawna będąca owocem jałowej polaryzacji, przyzwyczaiła już nas do tego, że jej uczestnicy mogą wygłaszać dowolne tezy, sprzeczne z najbardziej elementarną wiedzą politologiczną czy historyczną. Jednak w tym przypadku absurdalność tezy przypisującej Donaldowi Trumpowi bycie faszystą nie była jedynie produktem polskiej debaty. W artykule napisanym dla amerykańskiego portalu „The Atlantic" znana amerykańska dziennikarka, a prywatnie żona Radosława Sikorskiego, Anna Applebaum, porównała Donalda Trumpa do Hitlera, Stalina i Mussoliniego. Nie był to głos odosobniony. Amerykańskie media, w większości sprzyjające Demokratom, podczas minionej kampanii kreśliły obraz Trumpa jako zagrożenie dla amerykańskiej demokracji. Stacja CNN podała, że w książce „Wojna" Boba Woodwarda widnieje wypowiedź byłego przewodniczącego Kolegium Połączonych Szefów Sztabów, gen. Marka Milleya. Amerykański wojskowy miał stwierdzić, że Donald Trump „jest najniebezpieczniejszą osobą dla tego kraju... Faszystą do szpiku kości". W podobną narrację weszła polityczna rywalka Trumpa w wyścigu o urząd prezydenta, Kamala Harris. Kandydatka Demokratów podczas jednego ze spotkań z wyborcami pytana o to, czy uważa Donalda Trumpa za faszystę, odpowiedziała twierdząco: „Tak, tak uważam". Naprawdę trudno uwierzyć, w jak absurdalne rejony zabrnęła amerykańska polityka. Przypomnę, że mówimy o człowieku, który przez cztery lata piastował już urząd prezydenta. Co warto podkreślić, sprawował ten urząd jak najbardziej demokratycznie. Przegrywał głosowania w Kongresie, w tym także te kluczowe, przegrywał w sądach, nieprzychylne mu media wyłączały jego przemówienia, a platformy cyfrowe likwidowały jego konta. Przez całą swoją kadencję Trump nie podjął żadnej inicjatywy mającej zmienić ustrój państwa. Doprawdy dziwny to obraz zagrażającego demokracji faszysty. Czy zatem dowodem na faszyzm Trumpa ma być zorganizowany 6 stycznia 2021 roku, po przegranych wyborach, przez grupkę zwolenników szturm na Kapitol? To również nie brzmi zbyt przekonująco. W myśl tej narracji niebezpieczny dla demokracji faszysta Trump miałby zacząć proces likwidacji demokracji dopiero po swojej czteroletniej kadencji zakończonej przegranymi wyborami? Byłby to doprawdy fenomen politologiczny nieznany nigdzie na świecie. Czemu więc liberalne elity tak chętnie i konsekwentnie postawiły na opowiastkę o zagrażającym demokracji faszyście, mimo jej widocznej gołym okiem absurdalności? Trudno powiedzieć. Być może jednym z czynników jest tu strach przed zmierzeniem się z rzeczywistością. W końcu manichejski model uprawiania polityki zawsze ma tę zaletę, że zwalnia jego prowadzących z wszelkich refleksji. Rezygnując z niego, elity te musiałyby dokonać choćby pobieżnej autorefleksji. Czy ich arogancja i postępująca alienacja nie stanowią kluczowych elementów tłumaczących kariery takich polityków jak Donald Trump?

Taniec zamiast wizji

Na widoczną w kampanii Demokratów arogancję i pewne odklejenie od rzeczywistości zwrócił uwagę felietonista brytyjskiego centrolewicowego dziennika „Guardian" Aditya Chakrabortty. Zdaniem komentatora duża część przekazu kampanijnego ustępującej ekipy opierała się na przekonywaniu wyborców, że błędnie postrzegają wiele rzeczy: „Mówiono wyborcom, że się mylą. Amerykanom powiedziano, że mylą się, widząc postępującą utratę zdrowia przez Joe Bidena, i że mylą się, sądząc, że jego następca nie powinien zostać wybrany w gigantycznej zakulisowej zmowie... Wszyscy mylili się, nie chłonąc wieców otwieranych przez Beyoncé i Ushera, skeczy w «Saturday Night Live» i tego klipu rapującego Baracka Obamy. Dlaczego nie mogli po prostu poczuć radości?" – pyta ironicznie Chakrabortty. Ten nieco postpolityczny model prowadzenia kampanii przy wsparciu celebrytów i robionego przez nich show poza wszystkim innym wydawał się trafiać w społeczną próżnię, być jakby „obok" wielu Amerykanów i ich codziennych problemów. W końcu, czy ubożące coraz bardziej amerykańskie społeczeństwo rzeczywiście chciało oglądać tańczącą Kamalę Harris? „Joe Biden śpi, Kamala jest na imprezie tanecznej z Beyoncé" – skomentował złośliwie Donald Trump, a jego wypowiedź szybko została przebojem internetu. Jednak

JOE BIDEN NIE WYGRAŁ WYBORÓW W 2020 ROKU DLATEGO, ŻE ON JEST DEMOKRATĄ, A TRUMP NIM NIE JEST. BIDEN WYGRAŁ WIZJĄ POWROTU DO IDEI PAŃSTWA DOBROBYTU.

eprasa.pl 89271c7d1f

problem Demokratów w tej kampanii sięgał głębiej. Nie chodzi tylko o formę ich kampanii, ale także, a może przede wszystkim, o jej treść.

ZWYCIĘSTWO TRUMPA MA WIELE POLITYCZNYCH ZNACZEŃ, ALE ŻADNYM Z NICH NIE JEST ZWYCIĘSTWO FASZYSTY. CAŁA TA NARRACJA OD POCZĄTKU DO KOŃCA BYŁA ABSURDALNA.

Jak zauważył Chakrabortty, „dla zdecydowanej większości pracowników w USA – czy to klasy średniej, czy klasy robotniczej, nauczycieli, czy sprzedawców – płace pozostały na tym samym poziomie. Nie przez cztery czy nawet 20 lat – ale przez większość ostatniego półwiecza. Odejmijmy inflację, a średnie godzinowe zarobki siedmiu na dziesięciu pracowników ledwo wzrosły, odkąd Richard Nixon był w Białym Domu". Doprawdy patrząc na te dane, trudno nie rozumieć, dlaczego nastroje społeczne w USA są coraz bardziej zapalne. Brak stabilizacji, niepewność jutra czy narastające i rozsadzające tkankę społeczną polaryzacyjne konflikty, przed którymi całkiem niedawno przestrzegał nas głośny apokaliptyczny film fabularny „Civil War" w reżyserii Alexa Garlanda, to codzienność wielu Amerykanów. Trudno się więc dziwić, że to społeczeństwo jest coraz bardziej zmęczone swoimi elitami politycznymi i oczekuje na zmianę. Swego czasu jako polityczna emanacja tej potrzeby był postrzegany Barack Obama ze swoim „Yes, we can". Później podobne emocje zagospodarował Donald Trump i jego hasło „Make America Great Again". Joe Biden nie wygrał wyborów w 2020 roku dlatego, że on jest demokratą, a Trump nim nie jest – całej tej narracji nie sposób traktować poważnie. Biden wygrał wizją powrotu do idei państwa dobrobytu. Nawet jeśli po jego kadencji niewiele z tych obietnic zostało, to Kamala Harris nawet nie próbowała wejść w te buty. Nie była kandydatką żadnej wizji, nawet kontynuacji wizji głoszonej przez Bidena w 2020 roku. Ustawiła się jako kontynuatorka status quo, co w sytuacji, gdy codzienność wielu Amerykanom doskwiera, nie mogło być dobrym pomysłem. Jak słusznie pisze Chakrabortty: „Właśnie wtedy, gdy elektorat wyrażał wściekłość na cały system polityczny i gospodarczy, ona i Demokraci stali się obrońcami systemu. Nie byli zmianą, ale tym samym. Martwili się o przyszłość «demokracji»; ostrzegali przed zakłóceniem wolnego handlu. Hasło Harris «nie cofamy się» mówiło wszystko: kampania zdefiniowana jako antytrumpowska, a nie za czymkolwiek".

> ***Nie można kochać swojego kraju tylko wtedy, gdy się wygrywa. Nie można kochać bliźniego tylko wtedy, gdy się z nim zgadzasz.***
>
> **JOE BIDEN**

Czy jest szansa na refleksje?

Jeśli traktować poważnie apokaliptyczne zawołania czołowych przedstawicieli liberalnego mainstreamu, to właśnie w USA skończyła się demokracja. Donald Trump, jak na zagrażającego demokracji faszystę przystało, lada moment ustanowi w kraju okrutną, brunatną dyktaturę. Tylko co będzie, jeśli tak się nie stanie? Czy jest szansa na jakąś refleksję ze strony siewców tych wszystkich apokaliptycznych wizji? Zwycięstwo Trumpa ma wiele politycznych znaczeń, ale żadnym z nich nie jest zwycięstwo faszysty. Cała ta narracja od początku do końca była absurdalna. Dostrzegło to też amerykańskie społeczeństwo. Wynik wyborów to także bardzo widoczny znak, że społeczeństwo to odrzuciło politykę moralnego szantażu, w której politycznych przeciwników i ich wyborców obsadza się w roli niebezpiecznych ekstremistów i wrogów demokracji. Kontynuowanie tej polityki będzie nie tylko nieskuteczne, ale także coraz bardziej niebezpieczne dla spójności państwa. W końcu, jeśli wyrzuca się dużą grupę społeczeństwa poza ramy demokratycznej wspólnoty, to czy możliwe będzie budowanie przestrzeni wspólnej? Bez niej niemożliwe jest przetrwanie żadnej demokracji. Po przegranych wyborach Joe Biden powiedział: „Nie można kochać swojego kraju tylko wtedy, gdy się wygrywa. Nie można kochać bliźniego tylko wtedy, gdy się z nim zgadzasz". Warto słowa sędziwego amerykańskiego polityka wziąć do serca.

eprasa.pl 89271c7d1f

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Cezary Krysztopa

Piekielne prostokąciki

Musisz naciąć ze Średnim takich prostokącików z kolorowego papieru, Średni potrzebuje do szkoły – oznajmiła Żona.

– Ale jakich, ile, o co w ogóle chodzi?

– No, takich papierowych.

– No dobrze, ale jakiejś konkretnej wielkości, koloru?

Żeby nie było, moja Żona jest człowiekiem w odróżnieniu ode mnie świetnie zorganizowanym i ogarniętym, ale w pracach manualnych akurat lepszy jestem ja. Szybko dostałem wytyczne ze szkolnej strony: „Na zajęciach będziecie wykonywać mozaikę. Proszę przygotować z kolorowego papieru prostokąt np. 2 cm/3 cm w różnych odcieniach koloru niebieskiego, srebrnego lub białego (w każdym kolorze po 25 sztuk), klej, nożyczki, kartkę z bloku technicznego w kolorze czarnym A4”. Temat pojawił się wieczorem. Jasne więc było, że raczej nie zdążę tego zrobić ze Średnim, a będę musiał to zrobić, biorąc pod uwagę obowiązki zawodowe, sam po nocy.

Jednocześnie okazało się, że sytuacja jest jeszcze bardziej skomplikowana, ponieważ Średni nie miał czarnych kartek z bloku technicznego (są w ogóle bloki techniczne z czarnymi kartkami?) i generalnie większość dzieci nie miała wystarczającej ilości niebieskiego papieru. My akurat mieliśmy niebieski papier, więc Żona umówiła się z innymi, że my „dowieziemy” dużo niebieskich prostokącików, a inni dowiozą więcej czarnych kartek. Dostałem grubszy plik kolorowego papieru i w zasadzie wszystko już było jasne.

W nocy mam zwykle rozliczne obowiązki. Czy to związane z prowadzeniem portalu, czy odpowiadaniem na zaległe maile. Tej nocy akurat przypadał też moment, kiedy musiałem napisać felieton na portal Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich. Dość, że zacząć mogłem po północy.

W pracy z papierem mam pewne doświadczenie ze studiów na Wydziale Architektury. Było to wprawdzie dość dawno, ale wydaje mi się, że nadal dysponuję umiejętnością sprawnej obróbki choćby i dużych arkuszy. Brak mi narzędzi, nie mam podkładki do cięcia nożykiem ani nawet długiej linijki. Ale pomysły mam zawsze, przygotowałem więc sobie „linię technologiczną”, podłożyłem do cięcia podwójnie złożone tekturowe okładki, za linijkę robiła mi budowlana taśma miernicza, na szczęście nożyk introligatorski staram się mieć zawsze.

Żmudna to robota, jeśli nie ma się czym np. ścisnąć papieru, nożykiem można przeciąć, powiedzmy z pięć kartek jednocześnie, powyżej papier zaczyna się szarpać. Ale ciąłem, jedną godzinę, dwie, trzy. A urobek wrzucałem do foliowej torebki. Około trzeciej w nocy zacząłem mieć wątpliwości, czy uda mi się pociąć cały papier, który dostałem od Żony. I ostatecznie stwierdziłem, że nie dam już rady, bo sobie palce poobcinam.

Miałem potworne wyrzuty sumienia. Po powrocie Syna ze szkoły zaraz zapytałem:

– Synku, wystarczyło ci tych prostokącików?

– A nie, nie, tato – odpowiedział. – Prawie wszystkie mi zostały, możesz je zabrać.

– Aha – pomyślałem – Aha.

eprasa.pl 89271c7d1f

ŚWIAT WEDŁUG CHODAKIEWICZA

Islamska ściągawka

Marek Jan Chodakiewicz

Należy badać mahometanizm, to jasne. Należy zgłębiać tę cywilizację, aby wiedzieć, z czym mamy do czynienia. Jak obcy jest islam nam, cywilizacji chrześcijańskiej, logocentrycznej, wiadomo z ostrzeżeń jednego z najwybitniejszych muzułmańskich intelektualistów wszechczasów, który zachwycał w XIV w. Zaalarmowany logocentryzmem Ibn Khaldūn (1332–1406) pisał: „Takie są owoce logiki. Pozwala ona również zapoznać się z doktrynami i opiniami świata. Zrozumiałe jest, jakie zło może logika uczynić. Dlatego student powinien uważać na jej zatrute aspekty tak bardzo, jak to możliwe. Ktokolwiek bada logikę, powinien to czynić tylko i wyłącznie po tym, jak jest zupełnie pogrążony w szariacie, jak również po tym, jak studiował interpretacje Koranu i prawoznawstwo. Ci, którzy nie mają wiedzy o muzułmańskiej nauce religijnej, nie powinni podchodzić do logiki. Bez tej wiedzy taki człowiek nie ma szans pozostać bezpieczny wobec jej niebezpiecznych aspektów". (Zob. Khaldūn, „The Muquaddimah: An Introduction to History" [Wprowadzenie do historii], tłum. Franz Rosenthal, skrót i red. N.J. Dawood, Princeton, NJ: Princeton University Press, 1967, s. 405).

Co tak przestraszyło Ibn Khaldūna? Dlaczego logika (logocentryka) jest tak śmiertelnym zagrożeniem dla islamu? Spróbujemy pokrótce wytłumaczyć.

W naszych seminariach o Intermarium, cywilizacjach porównawczych oraz o ruchach ekstremistycznych wpadamy co i raz na islam, religię mahometańską. Religia ta, jej struktury, instytucje i wyznawcy nie mają jednolitego charakteru, nie kierują się zwykle logocentryzmem, w związku z tym mogą sprawiać wrażenie chaotycznych i niezwykle pogmatwanych. I pozbawionych logiki. Stąd konieczność zaznajomienia się z terminologią. Oto najważniejsza nomenklatura (głównie po arabsku):

Najważniejszy jest Allah, czyli bóstwo. Nie mylić z Panem Bogiem, Allaha bowiem nie można pojąć w żaden sposób, ani rozumem, ani zmysłami.

> Nasza modlitwa „Pater noster" (Ojcze nasz) jest w islamie **bluźnierstwem**. Allah nie jest ojcem; jest właścicielem niewolników.

Ludzie są po prostu jego niewolnikami i wcale nie są stworzeni na jego podobieństwo, bo on jest sam w sobie unikalny i jedyny. Niepodobny do nikogo. W tym sensie nasza modlitwa „Pater noster" (Ojcze nasz) jest w islamie bluźnierstwem. Allah nie jest ojcem; jest właścicielem niewolników.

Islam oznacza poddanie się (od słowa „aslama"), a wyznanie to wywodzi się z wizji proroka Mahometa: Doznał serii widzeń w jaskini na arabskiej pustyni w VII w. Przed jego przybyciem (a niektórzy muzułmańscy ekstremiści twierdzą, że dzieje się to i teraz) był ponury okres dżahilijja, czyli „czas ignorancji". Dopiero Mahomet przyniósł oświecenie, właśnie dzięki swoim widzeniom. Ale najpierw musiał uciekać (hidżara) od niedowiarków z Mekki do złaknionej nowej wiary Mediny, aby potem powrócić triumfalnie i ustanowić swoją religię. Wiara głoszona przez niego opiera się na 5 filarach (arkan al-Islam): wyznanie wiary, czczenie Allaha, post, datki oraz pielgrzymka do Mekki.

Islam jednak ma tysiące oblicz. Ogólnie – każda z islamskich sekt i orientacji ma tendencję do uważania innych za „niewiernych". Stąd często rżną się między sobą. Na przykład muzułmanin Tamerlan, atakując Turków osmańskich, uważał, że wyrzyna heretyków. W tym kontekście warto wiedzieć, że „reforma" dla muzułmanów często oznacza powrót do oryginalnego stanu wiary z okresu proroka Mahometa i porzucenie wszelkich naleciałości, które nagromadziły się w prawie i teologii przez stulecia. Taka okresowa czystka oznacza zwykle masywną wojnę domową u mahometan. Dlatego Al-Kaida i ISIS rżną głównie swoich. W imię odnowy i przywracania oryginalnych standardów wiary.

Czyli jaka jest hierarchia?

Specjaliści religijni

Arabski ksiądz katolicki Samir Khalil Samir tłumaczy, że analogia między klerem chrześcijańskim

eprasa.pl 89271c7d1f

a islamskimi specjalistami religijnymi jest nietrafna: „Fuqaha (doktorzy muzułmańskiego prawa) pokazują tę samą niezwykłą zdolność (tak jak prawnicy i juryści na całym świecie), usprawiedliwiając właściwie każdą sytuację". (Zob. Samir Khalil Samir, S.J., „111 Questions on Islam: Samir Khalil Samir, S.J. on Islam and the West" [111 pytań o islamie: Samir Khalil Samir, T.J.,], interviews by Giorgio Paolucci and Camille Eid, red. and tłum. by O. Wafik Nasary, S.J., oraz Claudia Castellani, San Francisco, CA: Ignatius Press, 2008, s. 103).

Religię islamską propagują i utrzymują rozmaici religijni specjaliści. Robią to w formie pisanej bądź ustnej, na przykład za pomocą wykładów (madżalis). „Ulema"/„ulama" – oznacza nie kapłanów, a nauczycieli, uczonych, czy też „naukowców" (w liczbie pojedynczej „alim"). A precyzyjnie – „tych, którzy wiedzą". Ulema zwykle stawiani są i stawiają siebie poza sprawami zwyczajnymi, a mają pretensję do interpretacji rzeczywistości w kontekście spraw sakralnych. Jako tacy zwykle cieszą się immunitetem w światach islamu, chociaż naturalnie jest dość przykładów w historii zniewalania czy nawet egzekucji ulema, którzy w jakiś sposób obrazili doczesne potęgi, władców.

Na przykład w drugiej połowie XVIII w. w czasie dżihadu w Futa Toro (pod Sahel) miejscowi nadworni ulema zainstalowani przy dworach plemienia Wolof, którzy to ulema byli zwykle cudzoziemcami (saharyjscy Arabowie i Znaga), poparli dżihadystów. Spadły na nich straszliwe kary, a niektórych sprzedano w niewolę, naruszając tym samym ich immunitet. (Zob. Nehemia Levtzion, „Islam in the Bilad al-Sudan to 1800", w: „The History of Islam in Africa", red. Nehemia Levtzion i Randall L. Pouwels, Athens, OH: Ohio University Press, 2000, s. 63–91).

W każdym razie islamscy naukowcy zwykle są autorytetami prawnymi i teologicznymi. Badają Koran, świętą księgę rewelacji swego proroka Mahometa, pisząc do niej komentarze (tafsir). Ale są również tacy, którzy badają hadisy, czyli pozakoraniczne zbiory zwyczajowych opowieści o zachowaniu i powiedzeniach proroka. „Muhaddithun"/„muhaddisan" (lp. muhaddith/muhaddis) to właśnie wyspecjalizowani w badaniach i komentarzu (szurah/shuruh) do hadisów. Do tego dochodzą autorzy biografii (sira) Mahometa oraz komentarzy do tego. Potrzebne jest znawstwo źródeł wiary islamskiej do rozstrzygania kwestii teologicznych (aquidah/akuida – credo) oraz interpretacji prawa (szarijat).

Krótko o ulema/ulama w: Marshall G.S. Hodgson, „The Venture of Islam", Volume 1: „The Classical Age of Islam" [Przedsięwzięcie islamu: Wiek klasyczny islamu] (Chicago, IL: University of Chicago, 1977), tom 1: s. 74 (ulema), s. 345–348 (tutaj o kadi i sądach nadwornych). O tradycji filozofii (falsifa) wśród mahometan oraz o innych szkołach myśli zob. Majid Fakhri, „A History of Islamic Philosophy" [Historia islamskiej filozofii], 3 wyd. (New York: Columbia University Press, 2004); Oliver Leaman i Seyyed Hossein Nasr (red.), „History of Islamic Philosophy" [Dzieje islamistycznej filozofii] (London and New York: Routledge, 2003); W. Montgomery Watt, „Islamic Philosophy and Theology" [Islamska filozofia i teologia] (Edinburgh: University Press Edinburgh, 1962); De Lacy O'Leary, „Islamic Thought and Its Place in History" [Islamska myśl i jej miejsce w historii] (New Delhi: Goodword Books, 2006); Joseph Kenny, „Philosophy of the Muslim World: Authors and Principal Themes" [Filozofia świata islamskiego: Autorzy i główne wątki] (Washington, DC: Council for Research in Values and Philosophy, 2003), https://epdf.tips/philosophy-of-the-muslim-world-authors-and-principal-themes-cultural-heritage-an.html; I.M.N. Al-Jubouri, „History of Islamic Philosophy – With View of Greek Philosophy and Early History of Islam" [Historia islamskiej filozofii pod kątem greckiej filozofii i wczesnych dziejów islamu] (Hertford: AuthorsOnLine Ltd., 2004); I.M.N. Al-Jubouri i Imad Al-Din Juburi, „Islamic Thought: From Mohammed to September 11, 2001" [Myśl islamska: Od Mahometa do 11 września 2011] (Bloomington, IN: Xlibris Corporation, 2010).

> Wiara głoszona przez Mahometa opiera się na **5 filarach**: wyznanie wiary, czczenie Allaha, post, datki oraz pielgrzymka do Mekki.

W każdym razie w ciągu ponad tysiąca lat rozmaite szkoły prawne, doktrynalne, teologiczne i filozoficzne powstawały, rozwijały się, zanikały, upadały i niekiedy ginął po nich ślad. A potem wyłaniały się ponownie. Na przykład tysiąc lat temu funkcjonowała prężnie wśród ulama garstka „naukowców" dających pierwszeństwo logice i rozumowi (aszab al-ray), ale dość szybko pozbyto się ich – do XII w. Ci tzw. mutazelici zwykle odnosili się pozytywnie do spuścizny intelektualnej Greków – szczególnie Arystotelesa, choć głównie do Platona. Zachęcali do dyskusji (kalam). Ich podejście filozoficzne zostało uznane za „nowinkarstwo" czy otwartość (bida). Napiętnowano to jako przeciwieństwo sunna. Odtąd racjonalność w mahometańskiej – a szczególnie sunnickiej – teologii i jurysprudencji traktowana jest pejoratywnie.

Cdn.

Waszyngton, DC, 18 listopada br.

eprasa.pl 89271c7d1f

KULTURA

Czytaj też:
Śmierci i filmy Meriana Coopera 64

Ważne jest to, ŻEBY ŻYĆ

– Mam taki cel, żeby moja muzyka sprawiała, że masz ochotę wbiec na parkiet i zacząć tańczyć. A nawet jeśli nie umiesz tańczyć, to gdy siedzisz i słyszysz mój numer, masz ochotę się pobujać – mówi **Ewa Ekwa**, wokalistka, aktorka, autorka tekstów, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

– Kim jesteś?
– Jestem kobietą. Jestem wokalistką, trochę aktorką, artystką.

– To zacznijmy od wokalu. Wiesz, że będziesz miała problem, żeby się wbić w główny nurt?
– Wiem, bo gdybym chciała się wbić w główny nurt, to bym nie robiła muzyki, której prawie nikt w Polsce nie zna.

– Jaka to muzyka?
– Afrobeat, amapiano. Wcześniej nagrywałam trap, R&B, soul. Śpiewałam gospel i soul. Gdy robiłam wokalne ozdobniki, to ludzie w wytwórni mówili, że to jest za bardzo R&B. Obecnie trzeba śpiewać prosto jak Sanah i to nie jest żaden przytyk. To świetnie działa.

– To może czas zacząć śpiewać prosto?
– Chcę robić to, czego naprawdę chcę. Zapominamy o tym, że miłość do muzyki powinna być na pierwszym miejscu. W pierwszej kolejności myślimy o tym, jak muzyka się sprzeda. Przy tym wszystkim powinna być zajawka na nowe dźwięki. Jestem miksem. Mój tata jest z Kamerunu, moja mama jest Polką. Zawsze towarzyszyły mi tożsamościowe rzeczy w muzyce. Zawsze je kminiłam. Zawsze lubiłam afrobeat, ale nie czułam, że chcę go robić. Miałam szacunek do tego gatunku i dlatego chciałam go odpuścić, bo nie czułam się jego częścią, chociaż lubię tańczyć do afrobeatu.

SŁAWA TO POTWÓR. LUDZIE CHCĄ CIĘ WYNIEŚĆ NA PIEDESTAŁ, A POTEM Z NIEGO ZEPCHNĄĆ.

– O! Czyli też tańczysz?
– Umiem i lubię tańczyć. Muzyka afrobeatowa i amapiano zakłada też, że ruszasz się do niej i to wszystko żyje.

– Dlaczego nie robisz trapu, patrząc na to, że jest wciąż koniunktura na tę estetykę?
– Przede wszystkim zawsze byłam wokalistką. Rap jest dodatkiem, który bardziej traktuję jako stylistyczną zabawę.

– Masz wiele twarzy mediach społecznościowych, to jest Twój pomysł na siebie?
– To jest w sumie świetne. Bo to jestem ja.

– Od czego zaczęła się Twoja przygoda ze śpiewaniem?
– Gdy byłam dzieckiem, śpiewałam w chórku kościelnym. Potem wykonywałam gospel i wówczas nauczyłam się występować na scenie przed widownią.

– Długo śpiewałaś gospel?
– Od trzynastego do dziewiętnastego roku życia. Potem zaczęłam tworzyć własną muzykę, zaczęłam śpiewać z Marysią Sadowską. Jeździłam w trasy z różnymi artystami i na gospel nie starczyło już czasu.

– Chcesz uzupełnić deficyt optymizmu w przestrzeni muzycznej?
– Trochę tak. Mam taki cel, żeby moja muzyka sprawiała, że masz

eprasa.pl 89271c7d1f

– Jestem aktorką głosową. Pracuję w dubbingu. Zagrałam w serialu „Absolutni debiutanci”, który można obejrzeć na Netflixie. Zrobiłam świąteczną piosenkę dla Disneya. W przyszłym roku w kinach będzie można mnie zobaczyć w produkcji „Sami w domu – mówi o sobie **Ewa Ekwa**.

Fot. mat. prasowe

ochotę wbiec na parkiet i zacząć tańczyć. A nawet jeśli nie umiesz tańczyć, to gdy siedzisz i słyszysz mój numer, masz ochotę się pobujać.

– Na jakiej muzyce się wychowałaś?

– Na tym, czego słuchał mój starszy brat, czyli rapie – głównie amerykańskim. Podłapałam to, co było bardziej melodyjne, np. Kanye’a Westa. Był też DMX, pojawiał się również Jay-Z. Jednak najbardziej lubiłam 2Paca. Mój brat miał jego wielki plakat z płyty „All Eyez On Me”.

– Miałaś takie sytuacje w życiu, że wszystkie oczy były skierowane na Ciebie?

– Samo to, że wychowałam się jako ciemnoskóra dziewczynka w Polsce, rodząc się w latach 90. i wychowując w 2000., mówi samo za siebie.

– Jesteś z Warszawy?

– Tak.

GDYBYM CHCIAŁA SIĘ WBIĆ W GŁÓWNY NURT, TO BYM NIE ROBIŁA MUZYKI, KTÓREJ PRAWIE NIKT W POLSCE NIE ZNA.

– Miałaś przewalone w stolicy, naprawdę?

– Tak. Stary jest 2024 rok i moja bratanica – która jest trzy razy jaśniejsza ode mnie – słyszy, jak jakieś dziecko krzyczy za nią na ulicy „Murzyn”, a ona ma cztery lata.

– Ciebie też tak wyzywali?

– Jak gdzieś wchodziłam, to wszyscy się na mnie patrzyli. Niektórzy szeptali, inni się śmiali. Jak zaczęłam zwiększać swoją aktywność medialną, to ludzie mnie zagadywali. Szczerze mówiąc, nie wiedziałam, jakie mają intencje.

– Od czego się zaczęło?

– Od „The Voice of Poland”. Po tym, jak odpadłam, zaczęłam śpiewać z Marysią Sadowską. Miałam wówczas 18 lat. Wtedy też zmarła moja mama. Dosłownie kilka miesięcy przed tym, jak poszłam do programu.

– Niech spoczywa w pokoju.

– Emocjonalnie było to dla mnie naprawdę bardzo trudne.

eprasa.pl 89271c7d1f

Chociaż nie do końca wiedziałam, z czym się mierzę. Bo nie można sobie wyobrazić straty rodzica, czyli najważniejszej osoby dla ciebie. A potem jeszcze jesteś na świeczniku. Ciężka sprawa. Później była fala rasizmu.

– Na czym ona polegała?
– Mówili, dlaczego nie promują Polaków.

– Ty jesteś Polką.
– No tak, ale to nie przeszkadza komuś, żeby mnie krytykować za kolor skóry. O Wilfredo Leónie też mówią, że nie jest Polakiem.

– Wracamy do aktywności zawodowych. Czas na aktorstwo. Ostatnio widziałem Cię w filmie „Pokusa".
– Zgadza się. Jestem aktorką głosową. Pracuję w dubbingu. Zagrałam w serialu „Absolutni debiutanci", który można obejrzeć na Netflixie. Zrobiłam świąteczną piosenkę dla Disneya. W przyszłym roku w kinach będzie można mnie zobaczyć w produkcji „Sami w domu".

– To może warto zaryzykować i podbić disco polo?
– O! To byłaby akcja. Mogłabym zrobić taki numer. Czarna laska z Polski robi disco polo.

– Pamiętam też, że próbowałaś swoich sił w sporcie.
– Grałam w koszykówkę. Byłam wtedy dość młoda i porzuciłam sport.

– Dążysz do dużej popularności?
– Niekoniecznie. Sława to jest potwór. Ludzie chcą cię wynieść na piedestał, a potem z niego zepchnąć. Bardzo często trzeba udawać kogoś, kim się naprawdę nie jest. Pokazywać życie, które jest totalną fikcją na potrzeby wizerunku. Dla mnie ważne jest to, żeby żyć, żeby to było dla mnie, a nie dla kogoś.

– Czego obecnie chcesz od życia?
– Chcę móc jeździć po świecie, jeść dobre jedzenie, robić muzykę, dbać o swoje zdrowie i żyć na poziomie.

– Gdzie teraz działasz medialnie?
– Radio Kampus. Prowadzę audycję poranną w środy od 7.00 do 10.00. Śpiewam o korkach w Warszawie z Zuzą Iłendą [śmiech]. Przez to śpiewanie wiele osób mnie rozpoznaje w różnych dziwnych miejscach, np. w szatni w klubie.

– Co jest największym wyzwaniem w prowadzeniu audycji porannej?
– Wstać na siódmą rano.

– Myślałaś o podcaście?
– Cały czas o tym myślę ze znajomymi w trakcie naszych imprez. A chcę próbować różnych rzeczy.

– Kiedy płyta?
– Tak naprawdę mam materiał na płytę, ale stwierdziłam, że teraz chcę wydawać single, żeby słuchacze oswajali się z moją muzyką, którą robię dla nich. Cieszę się, że otrzymuję dużo pozytywnych komentarzy na temat moich utworów, których nie nagrywam wbrew sobie, żeby wyłącznie przypodobać się odbiorcom.

– Rozmawiałaś już z jakimiś wytwórniami na temat wydania Twojej płyty?
– Rozmawiałam z jedną. Mieli na mnie jakieś pomysły, żebym robiła muzykę w klimacie Rihanny. Chodziło im o to, żebym zrobiła hit, ale nie powiedzieli, w jaki sposób [śmiech].

Współpraca: Basia Milewska

GDY BYŁAM DZIECKIEM, ŚPIEWAŁAM W CHÓRKU KOŚCIELNYM. POTEM WYKONYWAŁAM GOSPEL I WÓWCZAS NAUCZYŁAM SIĘ WYSTĘPOWAĆ NA SCENIE.

Ewa Ekwa

Ur. w 1995 roku w Warszawie, znana też pod pseudonimem Madam Ekwa – polska wokalistka kameruńskiego pochodzenia, autorka tekstów piosenek i prezenterka w Radiu Kampus. Zaczęła swoją muzyczną podróż od muzyki gospel. W wieku szesnastu lat wzięła udział w programie „Must Be the Music", w którym doszła do półfinału. Dwa lata później pokazała się w programie „The Voice of Poland". Jej talent dostrzegła Maria Sadowska, która po programie zaproponowała jej dołączenie do swojego zespołu.

eprasa.pl 89271c7d1f

MIX PŁYT

Bartosz Boruciak

THE CURE - SONGS OF A LOST WORLD
WYD. UNIVERSAL

Wielu fanów czekało na nowe utwory grupy, a co z pozostałymi słuchaczami? Po monumentalnym początku, który zniechęci fanów TikToka, mamy dużo ciekawych kompozycji, które wyjęte byłyby żywcem z lat 80. XX wieku. Album wypełniony jest patosem po brzegi i raczej nie zagości na playlistach radiowych, chyba że w skróconych wersjach albo w audycjach autorskich. Jednak cieszę się, że legendy wciąż komponują, a nie produkują muzykę. Utwory z najnowszego krążka na pewno świetnie będą brzmieć na koncercie. Na pewno też wyleczą wiele osób, które narzekają na plastik, bylejakość i powtarzalność w muzyce. Nazwa zobowiązuje. Polecam!

FABIJAŃSKI - DIAMENT
WYD. ANTIHYPE

Nie warto oceniać książki po okładce. To zdanie powinno być mottem działalności muzycznej Fabijańskiego. Aktor na nowym krążku zaskakuje zmiennością stylu nawijania. Muzycznie mamy łączenie starej i nowej szkoły rapu. Przypuszczam, że gdyby podobną płytę nagrał raper, którego uwielbiają dzieci i recenzenci, to bylibyśmy zasypani peanami nad różnorodnością i kolorytem nowych utworów. Na „Diamencie" Seba bardzo dużo śpiewa, jednak wolę go, jak rapuje. Bądź co bądź warto sprawdzić, bo ten diament po oszlifowaniu stanie się brylantem.

TYLER, THE CREATOR - CHROMAKOPIA
WYD. SONY MUSIC

Jakie to jest świeże... Jakie to jest dobre... Od kilku miesięcy, a może i dłużej, rap mnie nudzi i męczy. Bardzo często wracam do wcześniejszych produkcji, żeby poczuć głód muzyki, jednocześnie cofnąć licznik o kilka lat. Na szczęście jest Tyler, czyli artysta przez wielkie A. Nie daje się go wsadzić w ramy, nie wieje sztampą, nie mamrocze. Przede wszystkim jest osobliwy i wyróżnia się spośród masy, a bardziej ulepku, który zalał rap na całym świecie. W warstwie lirycznej i kompozycyjnej jesteśmy nieustannie zaskakiwani, a to bardzo lubię. Polecam!

SKILLET - REVOLUTION
WYD. HEAR IT LOUD

Na koniec rubryki zostawiłem sobie najmocniejszą pozycję muzyczną. Skillet nie jest zbyt popularnym składem w Polsce. Od samego początku mojej przygody z zespołem zachwyciłem się harmonią wokalistów oraz lekkością kompozycji przy użyciu dużej mocy. Na kolejnym albumie utrzymane zostaje to, za co polubiłem zespół. Nie ma masturbacji dźwiękowej, nie ma przesadnego romansu z elektroniką, który w przypadku wielu doświadczonych kapel brzmi bardzo pokracznie. Prostota i energia to recepta na sukces i paradoksalnie może być to rewolucją w muzyce. Polecam!

eprasa.pl 89271c7d1f

FILM

Śmierci i filmy Meriana Coopera

Merian Cooper (z prawej) i Cedric Fauntleroy – piloci 7. Eskadry Myśliwskiej im. Tadeusza Kościuszki

Fot. arch. IPN

Ileż to razy myślimy sobie, że jakaś historia zasługuje na film, tyle że nikt tego filmu nie robi, a w najlepszym razie robi go byle jak? W Polsce zdarza się to na pewno zbyt często, co więcej – zapewne sytuacja zmieni się na jeszcze gorszą, zważywszy na podejście nowej władzy do polityki historycznej. Tym bardziej cieszy, gdy zasługujące na to postać lub historia **doczekają się swojego filmu**, choćby jak w tym przypadku dokumentalnego, i jest to produkcja na wysokim, w pełni profesjonalnym poziomie.

Krzysztof Karnkowski

Historia Meriana Coopera jest chwilami tak niewiarygodna, że gdy pierwszy raz o niej usłyszałem, bliski byłem uznania, że ktoś coś pomylił lub koloryzował. Ale nie, wszystko się zgadza, wszystko się wydarzyło, wszystko jest udokumentowane.

Amerykanin we Lwowie

Urodzony w 1893 roku Cooper jako amerykański patriota fascynował się Polakami, którzy zapisali się w historii jego kraju, Tadeuszem Kościuszką i, w jeszcze większym stopniu, Kazimierzem Pułaskim, u którego boku walczył – a podobno i przyjaźnił się z generałem – jego prapradziadek. Fascynacja ta sprawiła, że zainteresował się również sprawami Polski, której losy wkrótce rozstrzygnąć miały się w ogniu I wojny światowej i gabinetach najważniejszych polityków świata. Merian Cooper jako młody lotnik po kursie pilotażu został zestrzelony w walkach nad terytorium Niemiec. Okoliczności tego zdarzenia były

eprasa.pl 89271c7d1f

na tyle dramatyczne, że jego krajanie nie dali mu żadnej szansy przeżycia i uznali za zmarłego – to pierwsza z tytułowych śmierci. Nasz bohater jednak przeżył, znajdując się w niemieckiej niewoli. Po zawieszeniu broni trafił do Francji, a stamtąd do Lwowa, gdzie nadzorował z ramienia Amerykanów pomoc humanitarną dla znajdującej się w opłakanym położeniu polskiej ludności. Był świadkiem walk o miasto, co na pewno wpłynęło na jego dalsze wybory. Merian Cooper dotarł wkrótce do marszałka Józefa Piłsudskiego, któremu zaproponował swoją służbę. Stworzył siedmioosobową grupę amerykańskich pilotów, która weszła w skład 7. Eskadry Myśliwskiej im. Tadeusza Kościuszki, stając się mocnym wsparciem dla powstającego w bólach polskiego lotnictwa.

Kolejna wojna, kolejna śmierć

Młodzi lotnicy niemal natychmiast muszą wrócić do walki, zaczyna się bowiem wojna z Sowietami. Historia się powtarza – po przymusowym lądowaniu dzielny Amerykanin przepada za linią wroga i znów zostaje uznany za zmarłego. Z pomocą dwóch Polaków udaje mu się jednak uciec. Po tułaczce wraca już do Stanów. Historia jeszcze raz połączy go z Polską podczas II wojny światowej, gdy w Anglii wspierać będzie duchowo polskich pilotów, dla których stanie się już żywą legendą. W Polsce dorastać będzie jego syn, będący owocem związku z przebywającą w naszym kraju brytyjską guwernantką Marjorie Crosby, Maciej. Crosby nie zdecyduje się na wyjazd do USA proponowany jej przez Coopera i zwiąże się z Antonim Słomczyńskim, któremu późniejszy autor kryminałów zawdzięczać będzie nazwisko. Istnieją jednak informacje o tym, że Amerykanin interesował się losem syna i próbował pomagać zarówno jemu, jak i swojej dawnej miłości, zwłaszcza w czasie II wojny światowej.

Wielka małpa

W historii tej jest jeszcze jeden niesamowity zwrot akcji, który rozgrywa się po drugiej stronie Atlantyku. Cooper w Ameryce nie kontynuował kariery wojskowej i został filmowcem. Zaczął od dokumentów podróżniczych, po czym zajął się większymi produkcjami. W 1933 roku, zafascynowany zwyczajami goryli, nakręcił „King Konga", jeden z bardziej znanych filmów w historii kina. W ciągu kilku lat doczekał się uznania za jedną z najważniejszych osób w Hollywood, Oscara i gwiazdy w Alei Gwiazd. Co ciekawe, doczekał się też poświęconego między innymi swojej historii najdroższego przedwojennego polskiego filmu fabularnego „Gwiaździsta eskadra" (reż. Leonard Buczkowski), którego wszystkie kopie zostały z premedytacją zniszczone w czasie wojny przez komunistów. Do dziś w Stanach co jakiś czas powraca temat poświęcenia Cooperowi filmu, jednak nigdy nie udało się jeszcze doprowadzić sprawy do końca.

HISTORIA MERIANA COOPERA JEST CHWILAMI TAK NIEWIARYGODNA, ŻE GDY PIERWSZY RAZ O NIEJ USŁYSZAŁEM, BLISKI BYŁEM UZNANIA, ŻE KTOŚ COŚ POMYLIŁ LUB KOLORYZOWAŁ.

Spłacony dług

8 listopada w warszawskim kinie „Kultura" odbyła się premiera filmu „Trzy śmierci Meriana Coopera" zorganizowana przez Instytut Pamięci Narodowej. Dokument, który wyreżyserował Rafał Salata, a wyprodukowała Anita Gargas, jest produkcją na wysokim, profesjonalnym poziomie, pełną materiałów i zdjęć archiwalnych, z tempem i napięciem godnym opowiadanej przez siebie historii. Film powstał w ramach flagowego projektu Instytutu, noszącego nazwę „Szlaki Nadziei. Odyseja Wolności". Znajdziemy w nim wypowiedzi historyków i bliskich Coopera, poznając historię, której powyżej streścić udało się tylko część. Według zapowiedzi Gargas, film będzie prezentowany w całym kraju, dlatego warto wypatrywać jego projekcji. Zwłaszcza że raczej nie doczekamy się go prędko w telewizji, zwłaszcza telewizji publicznej.

Polskiej kinematografii historycznej rzadko udaje się stworzyć tak znakomitą produkcję, dlatego warto, by losy Coopera poznało jak najwięcej osób. Nie tylko dlatego, że rzecz dotyczy twórcy ikony światowej popkultury, jaką stał się King Kong. Wiele mówimy o polskości i jej, przejawiającej się czasem w zaskakujących miejscach sile przyciągania. „Trzy śmierci Meriana Coopera" to film również o niej. Jak powiedział Jarosław Marek Rymkiewicz, „Polskość to jest straszna siła duchowa i to nie my ją wybieramy, bo nie możemy tu niczego wybierać. To ona nas wybiera, ona chce nas mieć i wtedy nas wybiera". Wybrała sobie również dzielnego lotnika i wybitnego, światowej sławy reżysera, który choć Polakiem nie był, w historii Polski zapisał się we wspaniały sposób. Film Salaty i Gargas oddaje mu należne w tej historii miejsce, pozostaje nam jeszcze przywrócić je również w polskiej świadomości. Tak, by w bitwie o pamięć zwycięzcami nie pozostali czerwoni najeźdźcy i ich polscy pachołkowie, niszczący kopie filmu Buczkowskiego.

„Trzy śmierci Meriana Coopera", reż. Rafał Salata, prod. Anita Gargas Media, Polska 2024.

eprasa.pl 89271c7d1f

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

„Zielony Ład KATEM GRUPY AZOTY”

Blisko 500 związkowców protestowało 20 listopada w Szczecinie, domagając się powstrzymania niekontrolowanego importu tanich nawozów z Rosji i Białorusi.

Członkowie wszystkich central związkowych działających w Zakładach Chemicznych „Police” byli wspierani przez kolegów i koleżanki z innych zakładów pracy.

Związkowcy zwracali uwagę na pogarszające się warunki pracy w „Policach”, takie jak zawieszenie części świadczeń i przywilejów. Wskazywali, że w ostatnim czasie około 300 osób odeszło z pracy dobrowolnie bądź na emeryturę.

Ludzie obawiają się utraty miejsc pracy w związku z trudną sytuacją finansową przedsiębiorstwa. Zdaniem protestujących, najlepszym rozwiązaniem byłoby wprowadzanie ceł na rosyjskie i białoruskie nawozy.

Na transparentach można było przeczytać takie hasła jak: „Żądamy zamknięcia granic dla nawozów spoza UE”, „Zielony Ład katem Grupy Azoty”, „Polski chleb z polskiego zboża. Polskie zboże z polskich nawozów”, „Restrukturyzacją zatrudnienia nie uratujemy polskiego przemysłu chemicznego” czy „Nawóz rosyjski sprowadzacie i nam pracę zabieracie”.

Fot. Region Pomorze Zachodnie NSZZ „Solidarność”

SPRAWIEDLIWOŚĆ PO LATACH

Po 18 latach Sąd Okręgowy w Warszawie utrzymał w mocy wyrok bezwzględnego pozbawienia wolności dla Witolda Ł., zastępcy naczelnika więzienia w Barczewie za znęcanie się nad osadzonymi tam w latach 1983–1984 opozycjonistami.

Byli to przywódcy łódzkiej Solidarności Andrzej Słowik, Jerzy Kropiwnicki oraz Tadeusz Stański.

Witold Ł. został skazany przez sąd na jeden rok i trzy miesiące więzienia.

– W uzasadnieniu sędzia Bator-Ciesielska podkreśliła, że panowie Słowik, Kropiwnicki i Stański doświadczyli typowej zbrodni komunistycznej – powiedział portalowi wPolityce.pl mec. Marek Markiewicz, pełnomocnik pokrzywdzonych.

– Władze komunistyczne celowo skierowały ich bowiem do najgorszego zakładu karnego. Umieścili ich na oddziale z panem Kochem, zbrodniarzem wojennym, Niemcem skazanym na karę śmierci. Było bicie, polewanie wodą na mrozie. Wszystkie możliwe represje stanowiące naruszenie wszelkich spraw w stosunku do osadzonych z powodów politycznych – wskazywał.

MEDAL DLA JÓZEFA MOZOLEWSKIEGO

Przewodniczący Zarządu Regionu Podlaskiego NSZZ „Solidarność” otrzymał medal Mater Misericordiae Archidiecezji Białostockiej 16 listopada w białostockiej archikatedrze. Tego dnia przypadała uroczystość Najświętszej Maryi Panny

eprasa.pl 89271c7d1f

Fot. M. Żegliński

„Ze strony ministerstwa padła propozycja, by zrównać wydatki na dodatek mieszkaniowy w służbach podległych MSWiA z dodatkiem, jaki obowiązuje w wojsku. Byłoby to stopniowe zrównanie wynoszące od przyszłego roku 40 proc., w następnym roku 75 proc. i wreszcie 100 proc.”.

Bartłomiej Mickiewicz, wiceszef „S”, Tysol.pl, 15 listopada br.

Ostrobramskiej, Matki Miłosierdzia, która jest patronką archidiecezji białostockiej.

Wyróżnienie zostało przyznane Józefowi Mozolewskiemu za wieloletnią ofiarną służbę w środowisku ludzi pracy i zaangażowanie w rozwój kultu bł. ks. Jerzego Popiełuszki.

KONIEC SPORU W LEGNICKIM MOPS

W Urzędzie Miasta Legnicy podpisano 15 listopada porozumienie kończące trwający od marca br. spór zbiorowy dotyczący podwyżek wynagrodzeń dla tutejszych pracowników MOPS i DPS.

Porozumienie podpisali w imieniu władz miasta prezydent Legnicy Maciej Kupaj i wiceprezydent Aleksandra Krzeszewska; po stronie pracowników przewodniczący Zarządu Regionu Zagłębie Miedziowe NSZZ „S” Bartosz Budziak i przewodnicząca „S” w legnickim MOPS Aneta Mazur; ze strony pracodawców dyrektor MOPS Jerzy Konopski oraz dyrektor DPS Joanna Bradt-Rożek.

W dokumencie zapisano, że po dostosowaniu wynagrodzeń do wymogów minimalnej płacy obowiązującej od 1 stycznia 2025 roku nastąpi średni wzrost środków na wynagrodzenia w wysokości 7 proc. z uwzględnieniem gradacji stanowisk.

Ponadto rządowy dodatek motywacyjny w wysokości 1 tys. zł brutto nie będzie wliczany do płacy minimalnej.

Co więcej, pracownicy, którym nie przysługuje dodatek motywacyjny, otrzymają równoważny dodatek specjalny.

EDUKACJA ZDROWOTNA?

Na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim Jana Pawła II odbędzie się 27 listopada konferencja pt. „Edukacja zdrowotna – nowy, obowiązkowy przedmiot w szkole!?”.

Prelegenci będą dyskutować nad projektem rozporządzenia minister edukacji, który zakłada likwidację dobrowolnego przedmiotu wychowanie do życia w rodzinie i zastąpienie go obowiązkowymi zajęciami z edukacji zdrowotnej. Nowy przedmiot ma być obligatoryjny od czwartej klasy szkoły podstawowej.

– Przedstawiony w projekcie zakres treści, szczególnie w odniesieniu do edukacji seksualnej, a także eliminowanie rodziców z procesu wychowawczego budzi wiele kontrowersji i niepokoju, zarówno wśród nauczycieli, jak i rodziców – zaznaczają organizatorzy konferencji: Fundacja „Ruchu Solidarności Rodzin”, OZ NSZZ „S” KUL oraz Region Środkowo-Wschodni NSZZ „S”.

Patronat medialny nad wydarzeniem objął „Tygodnik Solidarność”.

DOBRE WIEŚCI DLA HUTY CZĘSTOCHOWA

Państwowa spółka Węglokoks zawarła porozumienie z syndykiem masy upadłościowej ws. dzierżawy Huty Częstochowa. Umowa pozwoli na zabezpieczenie majątku produkcyjnego spółki w okresie zimowym. Wznowienie produkcji planowane jest na początku 2025 roku. Ponad 900 pracowników od 11 miesięcy nie może świadczyć pracy. Huta Częstochowa to jedyny w Polsce zakład produkujący blachy grube w technologii łukowego pieca elektrycznego, tzw. zieloną stal.

M.K.

Kalendarium Solidarności

2.12.1981 – stłumienie strajku w Wyższej Oficerskiej Szkole Pożarniczej w Warszawie;

27.11.1983 – w czasie homilii głoszonej przez ks. Jerzego Popiełuszkę padają słowa: „Wspominać będziemy o niewinnej śmierci braci naszych górników z kopalni Wujek, o śmierci braci z Lubina, Nowej Huty i innych miejscowości, o okrucieństwie zbrodni dokonanej na Grzegorzu Przemyku. [...] O więzionych bez wyroków od dwóch lat przywódcach Solidarności i KOR”;

30.11.1984 – rząd PRL wycofuje się z uczestnictwa w Międzynarodowej Organizacji Pracy. Jest to odpowiedź na niekorzystny raport dotyczący sytuacji związków zawodowych w Polsce;

30.11.1988 – Lech Wałęsa zwycięża w telewizyjnej debacie z szefem OPZZ Alfredem Miodowiczem.

eprasa.pl 89271c7d1f

„Fachowiec potrzebny od zaraz”. Konferencja NSZZ „S” i CPS „Dialog”

Czy sztuczna inteligencja **zabierze** pracę milionom ludzi? Dlaczego niektóre zawody są deficytowe, a inne nie? Kto wykształci fachowców? Za nami konferencja w Centrum Partnerstwa Społecznego „Dialog” i Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”.

Jakub Pacan

Maciej Kłosiński, zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”

Fot. M. Żegliński

W Centrum Partnerstwa Społecznego „Dialog” im. A. Bączkowskiego w Warszawie 14 listopada br. odbyła się konferencja pt. „Zawody deficytowe – wyzwania, zagrożenia, rozwiązania”.

Wyzwania

W wydarzeniu brali udział przedstawiciele związków zawodowych, pracodawców, rzemiosła, strony rządowej oraz eksperci branżowi. Zastanawiano się nad przyszłością rynku pracy i poszczególnych branż oraz rolą dialogu społecznego. Mówiono szczególnie o zawodach deficytowych, czyli takich, których przedstawiciele są pożądani na rynku pracy.

Konferencję rozpoczęła Katarzyna Zimmer-Drabczyk, kierownik Biura Eksperckiego, Dialogu i Polityki Społecznej Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, witając przybyłych gości. Następnie Iwona Zakrzewska, dyrektor CPS „Dialog”, otworzyła konferencję.

Maciej Kłosiński, zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”, wprowadzając zebranych w tematykę konferencji, zaznaczył, że rynek pracy czeka wiele wyzwań, które w sposób istotny wpłyną na pracowników, ich rodziny, na całe społeczeństwo. „Czynniki takie jak niż demograficzny, tzw. Zielony Ład, cyfryzacja – to tylko niektóre wyzwania wymagające pilnych rozwiązań – mówił. Dodał też, jak ważna jest ochrona polskich pracowników na dynamicznie zmieniającym się rynku pracy. „Istotne jest pozyskanie wysoko wykwali-

eprasa.pl 89271c7d1f

fikowanych pracowników również z innych krajów, nie powinno się to jednak odbywać kosztem polskich pracowników".

Prognozy

Prezentację dotyczącą prognoz rynku pracy przedstawiła dr hab. Ewa Flaszyńska, dyrektor Departamentu Rynku Pracy Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Omówiła kształt obecnego rynku pracy oraz strukturę bezrobocia. Przedstawiając badanie pt. „Barometr zawodów", wskazała, gdzie będą największe deficyty kadrowe. To branże: budowlana, medyczno-opiekuńcza, elektro-energetyczna, produkcyjno-przetwórcza, transport, spedycja i logistyka oraz branża mechaniczno-motoryzacyjna, edukacyjna, finansowo-prawna oraz ochrony i bezpieczeństwa.

Prof. Flaszyńska przedstawiła trzy scenariusze rozwoju rynku pracy, uwzględniając coraz większą obecność na nim sztucznej inteligencji: optymistyczny – zakładający rozwój nowych zawodów i wzrost zatrudnienia; neutralny – gdzie utrata miejsc pracy spowodowana automatyzacją będzie równoważona pojawieniem się nowych form zatrudnienia przy obsłudze technologii, oraz pesymistyczny – w którym sztuczna inteligencja będzie powodowała masowe zastępowanie pracowników przez maszyny.

– Kobiety częściej wykonują zawody, w których prężnie rozwija się sztuczna inteligencja, i to one są bardziej narażone na utratę pracy związaną z rozwojem AI. Mężczyźni częściej wykonują prace fizyczne, mniej podatne na zautomatyzowanie – tłumaczyła ekspert resortu pracy i polityki społecznej.

W panelu pt. „Zawody deficytowe dziś i jutro" brali udział m.in.: prof. Marek Rymsza – doradca prezydenta RP, Szymon Witkowski – Pracodawcy RP, Jacek Podgórski – Związek Przedsiębiorców i Pracodawców, Adam Ambroży – NSZZ „Solidarność", Grażyna Magdziak – Związek Pracodawców Business Centre Club, prof. Ewa Flaszyńska – dyrektor Departamentu Rynku Pracy Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej, prof. Jacek Męcina – Konfederacja Pracodawców Lewiatan, oraz Joanna Grochowska – Wojewódzki Urząd Pracy w Warszawie. Moderatorem był Jarosław Lange z NSZZ „Solidarność".

RZEMIOSŁO SIĘ STARZEJE. ZA PIĘĆ LAT NIE BĘDZIE MIAŁ KTO UCZYĆ TYCH ZAWODÓW.

Prof. Marek Rymsza podkreślił rolę najmłodszego pokolenia na rynku pracy. Stwierdził, że „inwestycja w miejsca pracy dobrej jakości jest właściwym torem. Rośnie z roku na rok skala realnych potrzeb na zawody pomocowe, w usługach społecznych. W państwie dobrobytu dobrostan jest kojarzony z dobrym dostępem do usług społecznych, a spada zainteresowanie wykonywaniem tych zawodów". – Zmieni się struktura zatrudnienia i trzeba przygotować się do tej zmiany – dodał.

Prof. Jacek Męcina na pytanie o nowe formy organizacji pracy związane ze skokiem technologicznym odpowiedział: – Można zidentyfikować zawody przyszłości. Niektóre są już nazwane. Rynek pracy po transformacji technologicznej nie zastąpi automatycznie 80 proc. pracowników. Badania pokazują, że ok. 30 proc. pracowników będzie musiało liczyć się z utratą pracy lub głębokim przekwalifikowaniem.

Rozmawiano także o edukacji, która uwzględniałaby potrzeby rynku w następnych latach. Janusz Kowalski ze Związku Rzemiosła Polskiego mówił: – Naukę z zawodem i rzemiosłem można doskonale połączyć. Niezwykle ważne są tzw. usługi bytowe, bez których niemożliwe jest normalne funkcjonowanie. Mamy kolosalne braki w podstawowych zawodach, brakuje cieśli budowlanych, brakuje kierowców. Rzemiosło się starzeje. Za pięć lat nie będzie miał kto uczyć tych zawodów. Szkolnictwo zawodowe jest w zapaści. To niedopatrzenie kolejnych rządów. Nauczyciele zawodu i praktyki mają zły system oceniania, ich wynagrodzenie jest niskie – powiedział.

NAUCZYCIELE ZAWODU I PRAKTYKI MAJĄ ZŁY SYSTEM OCENIANIA, ICH WYNAGRODZENIE JEST NISKIE.

Dużo czasu poświęcono pracy na etat oraz innym formom zatrudnienia. Grażyna Magdziak ze Związku Pracodawców Business Centre

eprasa.pl 89271c7d1f

Club przekonywała, iż problem formuły wynagradzania za pracę jest jednym z głównych determinantów wśród zawodów deficytowych. „Obserwujemy dzisiaj, że młodzi ludzie nie chcą się na stałe przywiązywać do pracy, m.in. poprzez umowę o pracę. Oni poszukują elastycznych form pracy, chcą mieć więcej wolności. Należy to wziąć pod uwagę".

Podczas dyskusji zwrócono uwagę ,że elastyczne podejście do zatrudnienia to głos młodych, perspektywa zmienia się, kiedy się jest bliżej emerytury. Młodzi muszą świadomie decydować o zabezpieczeniu na starość. Rola edukacji na każdym poziomie jest ważna.

Podkreślano także ważną rolę lokalnych rozwiązań, propozycji programów, sprawności lokalnych służb zatrudnienia.

W kierunku układów zbiorowych

W panelu pt. „Zmiany na rynku pracy – rola dialogu społecznego" moderowanym przez Macieja Kłosińskiego dyskutowali Grażyna Cebula-Kubat (Forum Związków Zawodowych) oraz Katarzyna Kamecka (Polskie Towarzystwo Gospodarcze), Teresa Hernik (Federacja Przedsiębiorców Polskich), Szymon Witkowski (Pracodawcy RP) oraz Sławomir Adamczyk (NSZZ "Solidarność") i Michał Polakowski (OPZZ).

Paneliści wskazywali na brak polityki przemysłowej rządu, która powinna wyznaczać kierunki kształcenia w nowych, potrzebnych zawodach, ale także dać możliwość przekwalifikowania się.

Maciej Kłosiński dodał, że zarysowane problemy należy odczytywać w kontekście takich wyzwań jak niż demograficzny, tzw. Zielony Ład czy cyfryzacja. – To tylko niektóre wyzwania wymagające pilnych rozwiązań – mówił.

W konferencji zorganizowanej przez NSZZ „Solidarność" nie mogło zabraknąć tematu układów zbiorowych. – W Polsce od początku żaden rząd nie przyczyniał się do promowania układów zbiorowych. Była raczej niechętna neutralność. Nowa dyrektywa unijna w tym zakresie wymaga, by rząd kraju członkowskiego opracował program promocji układów zbiorowych i przedstawił je w UE. Rokowania zbiorowe wymagają dzisiaj głębokiego dialogu związanego ze sztuczną inteligencją i zmianami na rynku pracy – powiedział Sławomir Adamczyk, kierownik Biura Branżowo-Konsultacyjnego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność".

Grażyna Cebula-Kubat, przewodnicząca Zarządu Krajowego Ogólnopolskiego Związku Zawodowego Lekarzy, nakreśliła, jak sytuacja przedstawia się w jej środowisku. – Układy zbiorowe są szeroko dyskutowane w FZZ. Wśród lekarzy jest to praktycznie nie do osiągnięcia. W publicznych jednostkach jest bardzo mało specjalistów pracujących na umowę o pracę. Walczymy o lekarzy na etatach, ponieważ ich odejścia powodują zamykanie oddziałów. Niestety jako lekarze nie jesteśmy zapraszani przez pracodawców, mało kto konsultuje z nami potrzeby w zakresie specjalistów w poszczególnych regionach Polski. Produkujemy nowych lekarzy, ale nie sprawdzamy, jakich specjalności potrzeba najbardziej – powiedziała.

Konferencję zakończył Bartłomiej Mickiewicz, zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność". W podsumowaniu podziękował w imieniu Piotra Dudy i swoim za to wydarzenie i przybycie gości. – Mam nadzieję, że to wstęp do kolejnych spotkań w Centrum Partnerstwa Społecznego „Dialog". W naszych dyskusjach na pierwsze miejsce wysuwa się dialog i dobrze, bo tylko w ramach dialogu społecznego, w którym biorą udział zarówno przedstawiciele pracowników, jak i pracodawców przy udziale ekspertów, możliwe będzie uzupełnianie luk w branżach, w których brakuje fachowców – podkreślił.

PROBLEM FORMUŁY WYNAGRADZANIA ZA PRACĘ JEST JEDNYM Z GŁÓWNYCH DETERMINANTÓW WŚRÓD ZAWODÓW DEFICYTOWYCH.

– To wydarzenie jest doskonałą okazją do wymiany doświadczeń, poszukiwania rozwiązań oraz zacieśnienia współpracy między pracodawcami a organizacjami związkowymi. Uczestnicy przyjrzeli się również mechanizmom i praktykom, które mogą skutecznie wspierać rozwój i utrzymanie kluczowych dla gospodarki kompetencji – dodał.

Przewodniczący Mickiewicz wyraził oczekiwanie uczestników Konferencji, by kontynuowano rozmowy o przyszłości rynku pracy podczas kolejnych debat w Centrum Partnerstwa Społecznego.

eprasa.pl 89271c7d1f

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – Spójrzmy na dzisiejsze zdjęcie. Widzimy na nim kilku panów, m.in. Stefana Melaka i Piotra Lisiewicza przed Ambasadą Rosji w Warszawie. Przeciwko czemu oni protestują?

Tomek: – To było w dniu, w którym do Warszawy przyjechał ze słynną wizytą Siergiej Ławrow w 2008 roku.

– Obie strony po tym spotkaniu były zadowolone. Przewijały się opinie, że to odwilż w stosunkach pomiędzy obydwoma krajami. Choć pojawiały się również głosy, że to tylko PR ze strony Rosji.

– My mieliśmy poczucie, że należy coś zrobić, jakoś zaprotestować przeciwko nadmiernemu ociepleniu tych relacji. Pojechaliśmy więc pod Ambasadę Rosyjską. To był niewielki, kilkuosobowy protest. Ale wiedzieliśmy, że działamy zgodnie z naszymi przekonaniami.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 89271c7d1f

PRAWO

BANK CHYBA „OSZALAŁ”,
czyli jak odzyskać środki z zablokowanego konta?

W październiku tego roku za kilka tysięcy złotych sprzedałem prywatnie pewną rzecz przez platformę społecznościową i dostarczyłem ją osobiście kupującemu. Po transakcji nabywca, niezadowolony z zakupu, zażądał ode mnie zwrotu pieniędzy – nie zgodziłem się. Kupujący złożył reklamację przelewów w banku, było ich kilka, twierdząc, że popełnił błąd. Bank zablokował moje konto, zaś w rozmowach ze mną, nie wyjaśniając mi w zasadzie nic i nie przyjmując mojej wersji, **wypowiedział mi umowę**. Najgorsze jest to, że ja nie zgodziłem się na żaden zwrot środków czy odstąpienie od umowy z kupującym. Jakie kroki należy podjąć, by odzyskać pieniądze?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

W przypadku zablokowania konta przez bank na skutek reklamacji zgłoszonej przez osobę dokonującą przelewu, klient ma prawo do odwołania się i podjęcia kroków prawnych w celu odzyskania dostępu do środków. Pierwszym krokiem jest przygotowanie szczegółowej reklamacji, w której warto przedstawić całą sytuację, wyjaśniając, że transakcja odbyła się między osobami prywatnymi, towar został dostarczony, a kupujący zgodził się na jego zakup i zapłatę. Należy zaznaczyć, że roszczenie klienta jest bezzasadne i nie daje podstaw do blokady konta, która narusza interesy odbiorcy płatności. Reklamacja powinna zakończyć się żądaniem odblokowania konta i przywrócenia dostępu do środków. W przypadku odrzucenia odwołania przez bank można podjąć kolejne kroki. Pomocą klientom w takich sytuacjach służy rzecznik finansowy, instytucja wspierająca osoby prywatne w sporach z bankami i innymi podmiotami finansowymi. Zgłoszenie sprawy do rzecznika może pomóc w przeprowadzeniu mediacji i znalezieniu sposobu na rozwiązanie konfliktu. Dodatkowo interwencja rzecznika często motywuje banki do ponownego rozpatrzenia sprawy i wypracowania kompromisowego rozwiązania.

Innym krokiem, który warto rozważyć, jest złożenie skargi do Komisji Nadzoru Finansowego. KNF sprawuje nadzór nad instytucjami finansowymi, w tym bankami, i może podjąć działania w przypadku podejrzenia naruszenia interesów klientów. Skarga do KNF może być skutecznym środkiem w sytuacji, gdy bank nie wyjaśnił dokładnie podstaw blokady konta lub odmówił wyjaśnienia reklamacji w sposób satysfakcjonujący dla klienta.

Jeśli dotychczasowe kroki nie przyniosą efektu, warto przygotować dokumentację dotyczącą transakcji oraz kontaktów z bankiem. Może być ona przydatna, jeśli sprawa trafi na drogę sądową. Dokumentacja powinna obejmować potwierdzenia przelewów, korespondencję z bankiem oraz inne dowody dotyczące transakcji, w tym dowód dostarczenia towaru i ewentualne potwierdzenie jego odbioru przez kupującego. Taka dokumentacja może być kluczowa w przypadku rozważenia działań prawnych przeciwko bankowi.

Jeżeli sprawa pozostaje nierozwiązana, konsultacja z prawnikiem specjalizującym się w prawie bankowym lub ochronie konsumentów może okazać się niezbędna. Prawnik pomoże ocenić sytuację pod kątem ewentualnego wniesienia pozwu przeciwko bankowi oraz przedstawi alternatywne środki prawne, które mogą zwiększyć szanse na szybkie odzyskanie dostępu do środków i rozwiązanie problemu.

Warto również zweryfikować regulamin banku, który wskazuje sytuacje, w jakich bank ma prawo do zamknięcia konta. Przeczytanie tych zapisów pomoże zrozumieć, czy wypowiedzenie umowy przez bank było zgodne z regulaminem oraz jakie prawa przysługują klientowi.

eprasa.pl 89271c7d1f

UPRAWNIENIA ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH w sferze bezpieczeństwa i higieny pracy

Związki zawodowe korzystają z szerokich kompetencji w zakresie reprezentowania praw i interesów osób zatrudnionych. Jedno z kryteriów ich podziału opiera się na tym, czy dana kompetencja dotyczy sfery indywidualnej czy zbiorowej. W pierwszej grupie mieszczą się takie kwestie, jak np. prawo zajęcia stanowiska w przypadku zamiaru wypowiedzenia umowy o pracę czy rozpatrywania przez pracodawcę sprzeciwu pracownika od nałożonej kary porządkowej. W drugiej z kolei można przywołać chociażby uzgadnianie regulaminów pracy i wynagradzania czy też udział w ustalaniu zasad podziału środków zakładowego funduszu świadczeń socjalnych.

Dr **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

Także do sfery zbiorowych praw i interesów należy zaliczyć uprawnienia realizowane przez związki zawodowe w zakresie bezpieczeństwa i higieny pracy. Nie wymaga szerszego uzasadnienia stwierdzenie, że BHP, a dokładniej rzecz biorąc – przestrzeganie przepisów dotyczących tej materii, oraz dbanie o to, żeby w praktyce funkcjonowania zakładu pracy rzeczywiście pracownicy mogli czuć się bezpiecznie, jest jednym z kluczowych obowiązków pracodawcy. Nie może zatem dziwić fakt, że ustawodawca przyznał związkom zawodowym daleko idące uprawnienia dotyczące tego aspektu zatrudnienia.

Uprawnienia te można podzielić na dwie zasadnicze grupy – pierwsza obejmuje działania, które mogą bezpośrednio podejmować same organizacje związkowe, a druga to te, w których struktury związkowe działają poprzez inne podmioty.

Pierwsza grupa znajduje generalne oparcie w art. 26 pkt 3 ustawy związkowej, w myśl którego do zakresu działania zakładowej organizacji związkowej należy sprawowanie kontroli nad przestrzeganiem w zakładzie pracy przepisów prawa pracy, a w szczególności przepisów oraz zasad bezpieczeństwa i higieny pracy (warto zauważyć, że w przepisie tym mowa jest o zakładowej organizacji związkowej, czyli tej strukturze związkowej, która funkcjonuje na szczeblu konkretnego pracodawcy).

Najbardziej praktycznym wyrazem realizacji powyższego uprawnienia jest rozwiązanie przyjęte w art. 29 tego samego aktu. Przyznaje on organizacji zakładowej prawo wystąpienia do pracodawcy z wnioskiem o przeprowadzenie odpowiednich badań w razie uzasadnionego podejrzenia, że w zakładzie pracy lub w miejscu wyznaczonym przez pracodawcę do wykonywania pracy zarobkowej występuje zagrożenie dla życia lub zdrowia osób.

Z kolei najbardziej charakterystycznym uprawnieniem z zakresu BHP polegającym na działaniu strony związkowej poprzez inne podmioty jest bez wątpienia kierowanie działalnością Społecznej Inspekcji Pracy i współdziałanie z Państwową Inspekcją Pracy (art. 20 pkt 4 ustawy związkowej). Szczegółowe zasady określające sposób kierowania SIP przez organizacje związkowe (oraz takie kwestie jak struktura SIP, jej szczegółowe kompetencje czy też uprawnienia samych społecznych inspektorów pracy) reguluje z kolei ustawa z 24 czerwca 1983 r. o Społecznej Inspekcji Pracy (t.j. Dz.U. z 2015 r., poz. 567 ze zm.).

Do tej grupy można również zaliczyć fakt, że w skład komisji BHP (powoływanej przez pracodawców zatrudniających więcej niż 250 pracowników (a której zadaniem jest m.in. dokonywanie przeglądu warunków pracy, okresowej oceny stanu bezpieczeństwa i higieny pracy, formułowanie wniosków dotyczących poprawy warunków pracy, czy też współdziałanie z pracodawcą w realizacji jego obowiązków w zakresie bezpieczeństwa i higieny pracy) wchodzą przedstawiciele pracowników, w tym społeczny inspektor pracy (art. 237^{12} Kodeksu pracy).

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**”) lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność”, ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 89271c7d1f

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Nasi autorzy

Marek Jan Chodakiewicz (Islamska..., s. 58), historyk związany z Institute of World Politics w Waszyngtonie. W USA mieszka od lat 80. Ostatnio opublikował „Światy islamu" (3S Media, 2023). Jego komentarze ukazują się w „Tygodniku Solidarność" od maja 2008 roku.

Andrzej Chojnacki (Okładka, s. 1), grafik z wieloletnim stażem, fotograf. Z naszą redakcją związany od 12 lat. Twórca wielu okładek „Tygodnika Solidarność".

Zdzisław Krasnodębski (Upadek..., s. 46), jeden z najważniejszych współczesnych polskich socjologów, wieloletni profesor Uniwersytetu w Bremie. W latach 2014–2024 poseł do Parlamentu Europejskiego. W latach 2018–2019 jego wiceprzewodniczący. Jego najnowsza książka to wydana w 2023 roku „Kurtyna podniesiona" (Ośrodek Myśli Politycznej).

Marcin Krzeszowiec (Rynkowe..., s. 16), pisze dla „Tygodnika Solidarność" od 2021 roku. Aktualny gospodarz naszej rubryki „Co w związku".

Barbara Michałowska (Grabaże..., s. 8), dziennikarka „Tygodnika Solidarność". Specjalizuje się w sprawach związkowych. Z nami od 2009 roku.

Magdalena Okraska (Nasi..., s. 23) publicystka, pisarka i działaczka społeczna związana ze środowiskiem pisma „Nowy Obywatel". Autorka dwóch głośnych książek opisujących Polskę z perspektywy mniejszych miast i miasteczek. Jej „Ziemia jałowa. Opowieść o Zagłębiu" ukazała się w 2018 roku (Wydawnictwo Trzecia Strona), „Nie ma i nie będzie" (Wydawnictwo Ha! art) w roku 2022.

Tadeusz Płużański (Medalik..., s. 53), historyk, popularyzator wiedzy o polskim podziemiu niepodległościowym. Ostatnio wydał „Obławę na Wyklętych. Polowanie bezpieki na Żołnierzy Niezłomnych" (Replika, 2017). Dla nas pisze od roku 2020.

PRENUMERATA

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na cztery sposoby:

1) Bezpośrednio u wydawcy „TS" – TYSOL Sp. z o.o., 00-838 Warszawa, ul. Prosta 30, tel. 22 882 27 80, e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com numer konta: Mbank 58 1140 1065 0000 2038 9400 1001. Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;
2) w wersji elektronicznej przez: **tysol.pl**;
3) „RUCH" SA na stronie: prenumerata.ruch.com.pl;
4) Kolporter SA na stronie: kolporter.com.pl.

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- II kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- I półrocze – 195,00 zł (od nr. 1 do 26)
- III kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- IV kwartał – 97,50 zł (13 wydań)
- II półrocze – 195,00 zł (od nr. 27 do 53)

Roczna prenumerata – 390,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 240 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na: www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 89271c7d1f

POLSKA MOC BIZNESU

KONGRES SPOŁECZNO-GOSPODARCZY

SAVE THE DATE

2 grudnia 2024

PGE Narodowy

SCENA
BE SAFE

SCENA
BE VALUE

SCENA
BE SMART

BE READY!

ZAREJESTRUJ SIĘ!

eprasa.pl 89271c7d1f

RAPORT

DRAPIEŻNY ZIELONY (NIE)ŁAD

już dostępny

Pierwsza tak kompleksowa analiza wpływu
polityki klimatycznej Unii Europejskiej
na polską gospodarkę
przygotowana na zlecenie NSZZ „Solidarność”
przez grono niezależnych i uznanych ekspertów.

Kup na

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa.pl 89271c7d1f